

AS

Nr. 21
22 MAJA 1938 ROKU
CENA 40 GROSZY

NA REWJI MODY PLAŻOWEJ

Oryginalny komplet Mary Brodel z „Universal Pictures".

Ze wspomnień o wielkim śpiewaku

Po raz pierwszy słyszałem Szalapina, będąc młodym chłopcem. Było to w miejskim teatrze w Odesie. Dla Odessy, wychowanej na włoskiej operze przez śpiewaków takich jak: Aramburo, Ancelmi, Garbin (tenorzy), Geraldini, Pandolfini, Sammarco (barytoni), Navarini, Gravino (basy), Munios, Dallabatti (soprany) etc. — obcą była opera rosyjska z poważną muzyką, bez wysokich, wirtuozyjnych nut. To też publiczność tego kosmopolitycznego miasta prawie stale ją omijała.

Szła „Pskowiczanka" R. Korsakowa, w której Iwana Groźnego grał Szalapin. Był to jego benefis. Publiczność zapełniła ćwierć teatru, jak napisano w „życzliwej" recenzji. Jako podarek benefisowy wręczono Szalapinowi jakąś oprawioną fotografję i zdaje się, że ofiarodawcą był W. Wasilew, sekretarz Szkoły Handlowej, u którego ja mieszkałem. Wasilew był w bardzo dobrych stosunkach i z Szalapinem i Gorkim z tych czasów, gdy wszyscy trzej razem w ciężkich chwilach swego życia zajadali na targu kawony, jeden z najtańszych produktów południowej Rosji. Wasilew podziwiał talent Teodora Iwanowicza i oburzał się, że obojętna Odessa nie umie sama odkryć wschodzącej gwiazdy i oddaje hołd tylko tym, którzy są już uznani przez cały świat. Wasilew często wracał do domu późno w nocy ze spotkań z Szalapinem i Sobinowem, znakomitym tenorem, należącym również do zespołu operowego. Nie sądzę, ażeby ci przyjaciele spędzali czas jedynie przy kieliszku, będąc ludźmi pełnymi polotu, musieli się rozkoszować gwiaździstem niebem na brzegu morza Czarnego, które jest tak piękne o wiośnie. Natchnione opowiadania Wasilewa o artystycznych wizjach, rodzących się w bogatej wyobraźni Szalapina, porywały moją młodą duszę i unosiły zachwytem dla Teodora Iwanowicza, którego zacząłem uważać za jakiegoś mesjasza sztuki operowej. Nie wątpiłem ani na chwilę, że zabłyśnie na firmamencie artystycznym jak gwiazda niezwykłej wielkości.

Żałuję, że zostawiłem w Rosji niezwykle duże pudełko zapałek, które mi ofiarował Wasilew, jako zapałki Szalapina. Nigdy nie spotkałem się z podobnemi. Charakteryzują go one jako człowieka, który nie lubiał nic przeciętnego i niepokaźnego.

W czasie owych występów Szalapina, nie było w Odessie znakomitego felietonisty Doroszewicza, który później tak wielką rolę odegrał w jego życiu artystycznem.

* * *

Byłem we Włoszech, gdy na afiszach La Scali pojawiło się nazwisko Szalapina, który i tutaj śpiewał w „Pskowiczance". Włosi, dzieci gorącego południa, przed premjerą już mówili o żywiołowym talencie rosyjskiego basa.

Zaczęło się przedstawienie. W pierwszym akcie zjawia się bojar Tokmakow. Śpiewa go Nazareno de Angelis, znakomity bas La Scali, a śpiewa tak cudownie, że obecni w teatrze Rosjanie zwątpili czy Szalapin potrafi dać publiczności więcej i lepszych wrażeń dźwiękowych. Pierwsze pojawienie się Iwana Groźnego jest nieme, gdy wjeżdża na koniu i ciężki wzrok wbija w Pskowiczan. Dzieje się to w chwili opuszczania kurtyny. I oto Teodor Iwanowicz wjechał na scenę pełnym galopem i osadził konia w miejscu przed budką suflera. Efekt był tak niespodziany, że zachwycona i zdumiona La Scala oklaskami zmusiła Szalapina do powtórzenia wjazdu.

W następnej odsłonie Szalapin zaczął śpiewać i kiedy w frazie „Bóg czuwa nad Pskowem" wziął „f", zaćmił wszystkich partnerów i niepodzielnie zapanował nad publicznością. Siłą ekspresji i grą wielkich tragików wzniósł się na niedościgłe wyżyny. I oto Doroszewicz pisze o jego sukcesie w La Scali, o tem jak Włosi zachwycali się językiem Dantego w jego ustach. Zaczyna się bajeczna karjera, która tylko nielicznym wybrańcom przypada w udziale. Na jego występy nie łatwo teraz dostać miejsce — trzeba długo wystawać w ogonku przed kasą. A on pracuje. Stojąc przed lustrem studjuje swą twarz — uczy się panować nad swymi mięśniami, ćwiczy mimikę aż do mistrzostwa.

* * *

Pamiętam opowiadanie mojego poprzednika w Konserwatorjum Towarzystwa Muzycznego, Warmoutha, o występach Szalapina w Monte Carlo w operze Don Carlos. W scenie między markizem Poza, którego partję śpiewał pierwszorzędny baryton, a Filipem — Szalapinem, Wartmuth nie słyszał śpiewu markiza Pozy, całkowicie pochłonięty grą twarzy słuchającego Filipa.

* * *

Przypominam sobie, jak Szalapin w 1905 roku, w Wielkim Teatrze w Moskwie, na żądanie publiczności rewolucyjnie nastrojonej, zaśpiewał „Dubinuszku na carskim spinuszku". Gdy drżący ze strachu urzędnicy cesarskiego teatru błagali go, by tego nie robił, on wołżanin, potomek Stienki Riazina, nie znał hamulców uniesiony żywiołowem uczuciem.

Niedługo potem zaproszony na dwór cesarski z takimże samym uczuciem zaśpiewał carowi Mikołajowi II „Dwóch grenadjerów" — Szumana, za co został mianowany nadwornym śpiewakiem carskim.

* * *

W tej samej Odessie, gdzie słyszałem go niegdyś w prawie pustym teatrze, byłem na jego koncercie w wspaniałej sali Giełdy i teraz trudno było dostać bilet.

Wyszedł Szalapin. Na owacyjne przywitanie publiczności odpowiadał ukłonem tak dumnym i wyniosłym, jakim panujący mogliby darzyć swych podwładnych. Na początek zaśpiewał „Bachalną pieśń" Glazunowa, nie zrobiła ona jednak wrażenia i nie wzbudziła już tego entuzjazmu jaki wywołało samo jego ukazanie się na estradzie. Szalapin zaraz sprostował, że do programu wkradła się pomyłka i że wykona „Dwóch grenadjerów" Szumanna i „Pierenestrela" Arieńskiego. I znów tłum szalał a znawcy porwani byli jakiemś modlitewnem uniesieniem, jakby Goethe lub Szekspir wypowiadali prawdę wieszczych słów przez usta wielkiego śpiewaka.

* * *

Śpiewałem w Petersburgu w sali ks. Oldenburskiego, która mieściła około 3.000 widzów, gdy nagle wszystkie przedstawienia odwołano z powodu gościnnych występów Szalapina. Dyrekcja i Szalapin byli tak uprzejmi, że pozwolili artystom nie biorącym udziału w przedstawieniu, przysłuchiwanie się próbom na widowni. Szalapin spóźnił się na próbę Don Kichota — Massenet'a. Wiedzieliśmy wszyscy, że jest przeziębiony, pomimo to jednak na próbę przybył. Wszedł do teatru, kłaniając się na prawo i lewo, trzymając na rękach mopsa o niezwykle brzydkiej mordzie, którego zostawił na widowni pod opieką swej żony. Na scenie chór zrobił mu owację i zaczęła się próba. Wielbiciela Dulcinei odtwarzał przeciętny tenor Ławrow, który na swoje nieszczęście już zdążył nie podobać się Szalapinowi, ponieważ — zapewne przez zdenerwowanie — niedość czysto śpiewał swą partję. Szalapin powiedział do reżysera, że „takiego śpiewaka należy zrzucić do orkiestry". Na to podniósł się kapelmistrz i wzburzony odrzekł:

— Teodor Iwanowicz wybaczy, ale tutaj nie jest śmietnik.

Ławrow nieśmiało śpiewał dalej, Szalapin złościł się i półgłosem odśpiewując, ustawicznie pokaszliwał. Następnie szła scena z rozbójnikami, kiedy Don Kichot prosi ich o zwrot ukradzionego naszyjnika Dulcinei i mimo razów, jakie mu zadają, zapewnia ich, że nie może wrócić bez niego, ponieważ dał słowo. Szalapin wyglądał jak męczennik. Rozbójnicy zrozumieli, że mają do czynienia z jakąś niezrównaną istotą.

Zapomniałem zupełnie, że siedzę na widowni, gdyby nie to, że sąsiad mój, bas Kaczynowski, trącając mnie łokciem szepnął: „Czy ty słyszysz Konstanty jaką on ma chrypkę?" A ja jak i inni artyści, płakałem nie zwracając uwagi na zaziębienie śpiewaka, zachwycony modulacją jego głosu i niezwykłą ekspresją słowa, które jakgdyby po transfuzji krwi, stały się nowe, młode, pachnące wiosną, przesycone treścią, jakgdyby nigdy nie słyszane i posiadające jakieś głębokie mistyczne znaczenie, co przenikało dusze i wywoływało w niej wraz ze łzami zachwytu, silny wstrząs.

Pamiętam, jak szukano Rosynantę i jak artyści malarze podkreślali jego żebra, aby uwypuklić chudość. Sam Szalapin był chudy do niemożliwości i z pewnością Cervantes byłby zadowolony ze swego Don Kichota.

Nie zapomnę nigdy frazy Szalapina — Don Kichota, kiedy na zdziwienie, że jednak dotrzymał słowa i przyniósł naszyjnik śpiewa: „i ona mogła wątpić".

O niezrównanej scenie śmierci nie będę mówił, gdyż jest uwieczniona na płytach gramofonowych.

* * *

Pamiętam przyjazd Szalapina do Państwowego Teatru w Tyflisie, gdzie miał wystąpić w Borysie Godunowie.

Zdarzyło się, że artysta wykonujący partję ks. Szujskiego zachorował. W chórze opery znalazł się śpiewak-żyd, znający tę partję od deski do deski, jak się to często zdarza wśród chórzystów długie lata pracujących w operze. Na prośby reżysera zgodził się zastąpić chorego artystę.

Już na dworcu kolejowym doniesiono Szalapinowi o chorobie artysty, grającego rolę Szujskiego i proszono go, by zgodził się na wystąpienie w tej partji zwykłego chórzysty. Teodor Iwanowicz łaskawie wyraził swą zgodę.

Zaczęła się próba. Szalapin tylko markował, a po frazie, przy której potężną ręką dusi i rzuca na podłogę Szujskiego, a potem mówi: Czekam odpowiedzi, biedny Szujski przestraszony, upadł nie tak jakby sobie tego życzył Szalapin, co tak wzburzyło Teodora Iwanowicza, że mając pod ręką cudną hebanową laskę, złamał ją w gniewie i ordynarnie zaklął. Szujski wstał i oświadczył: Wiem, że Pan jest wielkim Szalapinem, a ja biednym chórzystą, moje miejsce w chórze; Szujskiego śpiewać nie będę.

* * *

Ostatni raz widziałem Szalapina w Karlsbadzie, gdzie była na kuracji jego żona. Szalapin przechadzał się ze swym synem-rzeźbiarzem, który mu czytał na głos gazety francuskie. Przebywał tu incognito, zapewne z obawy przed natrętnymi wielbicielami jego talentu.

Wyglądał jak wyniosły dąb i daleki byłem od myśli, że on może umrzeć. Zdawał mi się być nieśmiertelnym jak nieśmiertelne pozostały jego kreacje.

Konstanty Kniaginin.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2.50

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 21 | **Niedziela, 22 maja 1938** | **Rok IV**

ASY NUMERU 21-GO:



Fot. W. H. Sanhen — Warszawa.

Od kilku zaledwie dni nastała w Polsce piękna pogoda, połączona z upałami. Ludzie, którzy do niedawna wyczekiwali z utęsknieniem ciepła promieni słonecznych i błękitu bezchmurnego nieba — teraz zaczynają już narzekać na wysoką temperaturę i uciekają do chłodu, który daje cień drzew i sąsiedztwo wody. Na zdjęciu: Fragment parku łazienkowskiego w Warszawie, ulubione miejsce wypoczynku mieszkańców stolicy.

DEKORACJA MONUMENTALNA

Świat kulturalny znajduje się pod wrażeniem wspaniałego przyjęcia, jakie zgotował naród włoski przywódcy współczesnych Niemiec.

Państwa totalne są mistrzami w stwarzaniu odpowiedniego tła dla rozgrywającej się scenerji politycznej. Sztuka dekoracyjna wciągniętą została do triumfalnego rydwanu wodzów faszyzmu i hitleryzmu. Artyści współcześni italscy złożyli daninę swego talentu, podobnie jak bywało w czasach odrodzenia, gdy do obowiązków dworskich malarzy i rzeźbiarzy należała również dekoracja miast z okazji wjazdów papieży i udzielnych książąt italskich. Faszyzm i w tych sprawach powraca do dawnej świetnej tradycji, zapoczątkowanej w starożytnej Romie, nie szczędzi środków finansowych by porwać i zachwycić tłumy.

Zadanie współczesnych artystów tworzących okolicznościową dekorację zabytkowych miast o tej wartości artystycznej co Rzym lub Florencja, jest łatwiejsze niż ongiś, gdyż polega nie na budowie monumentalnych łuków triumfalnych, lecz odsłanianiu piękna architektury minionych epok, odpowiedniem artystycznem obramowaniem, a zwłaszcza czarodziejskiem oświetleniem.

Współcześni dekoratorzy monumentalni porzucili 19-towieczną receptę używania wyłącznie festonów i szpalerów, masztów chorągwianych, lecz tworzą nowe pomysłowe elementy dekoracyjne, jak użycie mas zieleni i blasków tysięcy reflektorów.

Maszty chorągwiane zastępywane są coraz częściej kandelabrami i rzeźbami

Postępujący rytm masztów, ten niejako pochód pionów w perspektywie poziomów ulicy, ma swe uzasadnienie estetyczne, lecz nie wyczerpuje współczesnych środków i bogactwa elementów dekoracyjnych, używanych w celu świątecznego upiększenia zabytkowej architektury.

Rzędy pilonów spełniają swe funkcjonalne przeznaczenie, wytyczając na płaszczyźnie drogę. Z użyciem tego elementu artysta musi być bardzo ostrożny, by pionowością nie stłumić brutalnej harmonji poziomych linij fasad szacownej architektury.

Istotnem upiększeniem zabytkowych domów to podkreślenie ich charakteru odpowiedniemi elementami dekoracyjnemi, nie zawierającemi ich płaszczyzn.

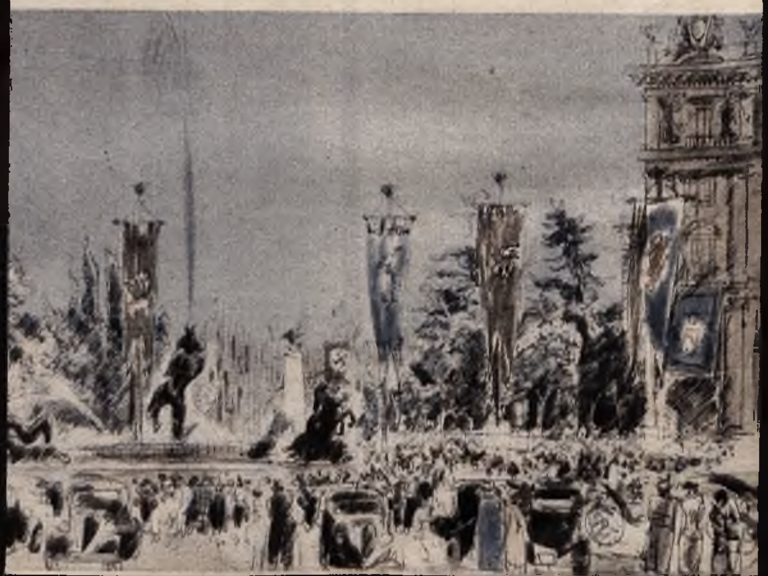
Klasycznym wzorem artystycznej dekoracji placów miejskich, to świąteczna dekoracja placu św Marka w Wenecji, gdzie zwisają amarantowe, starem złotem haftowane lambrekiny pod linją framug okiennych, podkreślając mądrze piękno architektury Palladja i ożywiając dostojnie rytm łuków pałacowej architektury. Trzy jedwabne flagi, umieszczone na pilonach, wykutych misternie w bronzie w 1505 r. przez Aleksandra Leopardiego, igrają z wiatrem, odsłaniając filuternie cudowną zjawę marmurowo-mozaikowej bazyliki św. Marka.

Mając ten prawzór tradycyjny, współcześni faszyscy artyści posłużyli się podobnym



Dekoracja Ponte Vecchio w Florencji z okazji przyjazdu Hitlera. (Illustrazione Italiana).

Poniżej: Plac Esedra w pobliżu dworca kolejowego w Rzymie. (Illustrazione Italiana).





Na lewo: Użycie reflektorów jako tła dekoracyjnego w Norymberdze na łące Zeppelina w czasie zjazdu politycznego.

Poniżej: Trybuna królewska na Forum Mussoliniego w Rzymie, podczas wizyty Hitlera.



systemem zwieszając z balkonów i okien florenckich i rzymskich pałaców stare gobeliny, złotogłów, brokat i wschodnie makaty, harmonizujące cudownie z powagą rustyki starych murów. Mamy możność przedstawienia na załączonej reprodukcji wzorowej dekoracji ulicy Strozzi we Florencji, którą pokryto tkaninami, niby dawnem velarium, zwisającem poprzez środek ulicy z szczytów dachów. Narożniki pałaców przemyślnie ozdobiono festonami zieleni, związanemi wstęgami złotogłowiu, niby w rózgi liktorskie.

Zarówno w Rzymie, jak i w Florencji, przeprowadzono zasadę niezasłaniania chorągwiami zabytkowej architektury, lecz podkreślenia jej piękna w dzień — festonami z zieleni, a nawet całemi gajami, przeniesionemi na ulicę Rzymu, w nocy zaś feerycznem oświetleniem o odpowiednich barwnych tonacjach.

W centrum Rzymu dla iluminacji zabytkowych gmachów użyto ostatnio reflektorów o białej tonacji, oświetlających sylwetę kapitolińskiej wieży, snopy czerwieni rzucono na gigantyczny „Ołtarz Ojczyzny" (Pomnik Nieznanego Żołnierza" i króla Wiktora Emanuela), w jasno-lazurowej gamie pokazano fora cesarskie, a niebieskawym blaskiem oświetlono bazylikę Massenzia.

Surowe masy rustyki pałacu weneckiego oświetlono drżącem światłem gazowych pochodni. Symbolizującym akcentem była jaskrawa biel światła, rzucona na balkon i trójkolorowy sztandar Włoch, umieszczony w miejscu, skąd zwykł przemawiać niezłomny strażnik wielkości Włoch, Mussolini.

Ponad Wiecznem Miastem górowała oświetlona postać archanioła na zamku „San Angelo".

Również fontanny, których największą liczbę na świecie posiada Rzym, użyto dla wydobycia efektów świetlnych, barwiąc przecudownemi akordami dzieło Rutellego grupy najad, zdobiących wodotrysk na placu Esedry. Również masyw barokowej fontanny Trevi, tej królowej wodotrysków Rzymu, grał tysiącem barw. Dla dekoracyjnych efektów posłużono się nawet postaciami żołnierzy, okalającemi wodotryski rzymskie, oraz zdobiącemi niby posągi, ustawione na odpowiednich postumentach dla dekoracji budynku dworca kolejowego na Brennerze.

System dekoracyjny, użyty w czasie pobytu Hitlera, podkreślał przedewszystkiem rozmiłowanie współczesnej Italji w potędze dawnego, a dziś odrodzonego rzymskiego imperjum. Tysiące reflektorów odsłoniło majestatyczne piękno starożytnego Rzymu, okazując plastycznie wielkie dzieło Mussoliniego.

W świątecznej dekoracji włoskich Dni Hitlera dążono do podkreślenia wdzięku artystycznej kultury Italji. Faszystowscy artyści plastycy zrealizowali wolę Mussoliniego, podkreślając w swej kompozycji logikę monumentalnej architektury ,ożywionej kontrastem barwnych tonacyj, oraz dążność do harmonijnego ujęcia perspektywy ulic, przy użyciu pełnych finezji dekoracyjnych pomysłów.

Jak potężnym czynnikiem jest pomysłowe w wielkim stylu użycie światła elektrycznego, świadczą przykłady zastosowania promieni świetlnych, jako jedynego tła dekoracyjnego w Norymberdze z okazji zebrania politycznego na łące Zeppelina.

Dotychczas w umiejętności i pomysłowości tworzenia efektów świetlnych celowali Francuzi. Oni pierwsi stworzyli cuda świetlne, od których nazwę przybrał współczesny Paryż: miasto światła.

Wkońcu z uznaniem muszę podnieść fakt, iż w czasie pobytu Hitlera w Italji, Włosi nie używali nowego czynnika propagandy państw totalnych, a mianowicie wprowadzania gigantycznych napisów, i sloganów politycznych, pokrywających całe fasady olbrzymich domów, jak to zwykliśmy widywać z okazji podobnych uroczystości w Moskwie.

Italja pokazała wodzowi Niemiec to, co ma najpiękniejszego, tj. swą artystyczną kulturę!

M. Dienstl-Dąbrowa



Na lewo: Fragment oświetlonego Colosseum w Rzymie 3 maja 1938.





Od lewej: Dekoracja ulicy „Pod Lipami" w Berlinie. — Dekoracja ulicy Ludwika w Monachjum z okazji otwarcia Domu Sztuki Niemieckiej.



Na lewo: Przepiękna dekoracja ulicy Strozzi w Florencji z okazji odwiedzin Hitlera.

Poniżej: Dekoracja dworca kolejowego na Brennerze z okazji przejazdu przez granicę włosko-niemiecką Hitlera.



TAŃCE STAREGO MEKSYKU



Na lewo: Jednym z najcharakterystyczniejszych tańców Meksyku jest „jarabe".

Poniżej: Fragment meksykańskiego tańca trzytaktowego: „kierownik" tańca uzbrojony jest w bat.







Od lewej: Uczestnicy tańców staromeksykańskich przebrani za Azteków, biorą udział w uroczystościach żniwnych.

(Wszystkie ilustracje z „Notes sur les danses" Augusta Genin).

W dzisiejszej rzeczywistości spotykamy się na różnych kontynentach z tańcami wysoko zaawansowanemi w swoim wielowiekowym rozwoju, jak tańce dalekiego Wschodu lub czołowych baletów Europy, jak również z bardzo ciekawym, ale zupełnie prymitywnym, murzyńskim, polinezyjskim i indjańskim. Trudno nam więc wyobrazić sobie, jak wyglądały tańce staroegipskie, staroasyryjskie i greckie w epoce mykeńskiej lub we wcześniejszych jeszcze okresach. To pośrednie ogniwo wypełniają nam częściowo zachowane, częściowo na żywo jeszcze opisane różnorodne tańce Meksyku, wywodzące się w najszlachetniejszych swych objawach od dawnych Azteków. W XVII i XVIII wieku kronikarze hiszpańscy z dużą precyzją opisując ginące obyczaje, opisali również szereg owoczesnych o starożytnych początkach tańców. Tradycja taneczna w większości swych zabytków przetrwała tu blisko tysiąc-lecie i znalazła monografistów, jak np. Dr. Antoniego Peniafel „Indumentaria Mexicana" i Francuza Augusta Genin „Notes sur les danses, la musique et les chants des Mexicains anciens et modernes". Korzystali oni częściowo z dawnych autorów, na których czoło wybijał się niejaki Torquemada i Tezozomoc.

Na czoło tańców wybijały się tańce o charakterze religijnym, rozpoczynające się od marszu równomiernego w kierunku bóstwa i cofania się bez odwracania ku tyłowi. — Później taniec podlegał dalszym bogatym komplikacjom. Torquemada wspomina, że niektóre z tych tańców tak były piękne, dostojne i poważne, że duchowieństwo katolickie zdecydowało się je wprowadzić do kościołów. Tak Terpsychora wypędzona z kościołów, po przeszło tysiąc-leciu wróciła do nich na drugiej półkuli. Cześć bóstwu nie wyrażali Meksykanie w gestach klęczących, tylko w postaci „kucznej". Każde święto doroczne, czy to święto żniw, czy łowienia ryb, czy polowań miało swoje odrębne tańce z atrybutami danej czynności czy danego rzemiosła. Rybacy np. nieśli sieci, harpuny, małe łodzie, słowem wszystkie utensylja rybackie i wykonywali stylizowane ruchy swojego zawodu. Podobnie postępowali również rolnicy, myśliwi i przedstawiciele różnorodnych rzemiosł.

Tak najważniejsze czynności życia codziennego znajdowały swój wyraz w transpozycji artystycznej. Tańcom obok perkusji, opartej przeważnie na różnych gatunkach bębnów i piszczałek, towarzyszył nieodłączny śpiew nadający tutaj element melodyjny i treściowy. Jedna z badaczek melodyj meksykańskich twierdzi, że w muzyce meksykańskiej znajduje motywy jakby z Schuberta ,Beethovena, Wagnera i innych słynnych kompozytorów, oczywiście istniejące tu od wieków. Szczególnem bogactwem muzycznem odznaczały się tańce wojenne, z któremi w miarę grozy walk łączyły się coraz krwawsze obyczaje. Specjalny taniec istniał wokół stosu, na którym palono zwłoki wodza. Przy tańcach nie używano prawie nigdy alkoholu poza wspomnianemi właśnie tańcami wojennemi.

Niewielki stosunkowo udział w tych tańcach mają elementy natury seksualnej, zgodnie z ogólnym charakterem rasy indjańskiej. Ale wedle wiarygodnych relacyj (Tezozomoc) od czasów króla Itzcoall, istniały t. zw. klasztory "cui-coyan", które odpowiadały raczej japońskim domom Josziwary. Życie seksualne bowiem było u Azteków ściśle regulowane, podobnie jak w Japonji i uświęcona obrzędami natury religijnej. W domach tych odbywały się kilkakrotnie coroku tańce, w których brali udział mężczyźni i kobiety, ubrani w różnorodne, fantastyczne stroje. Mężczyźni wieszali sobie najczęściej na czole t. zw. „teponaztli", zrozumiały dla nas łatwo symbol.

Ugrupowanie tańca było zasadniczo następujące. W środku znajdowała się właściwa orkiestra, wokół niej było pierwsze koło tancerzy a potem coraz dalsze. Pierwsze tańczyło w bardzo wolnem tempie, inne koła w miarę odległości od cetnrum coraz szybciej, by utrzymać się w tymsamym rytmie, co środkowe. Pomiędzy tancerzami przewijały się dzieci i kobiety, przebrane za specjalny gatunek błaznów, która to tradycja przetrwała do dni dzisiejszych. Owi błaznowie, dziś reprezentowani przez dorosłych, tańczą niezmordowanie czasem przez szereg dni z małemi przerwami odpoczynkowemi, aż do zupełnego wyczerpania. O podobnych szałach tanecznych opowiadał nam również Hagemann w swoich teatrologicznych wędrówkach po Afryce. Tradycja przekazuje, że do takiego tańczenia zmuszano ogniem i żelazem jeńców wojennych, którzy często umierali wprost z wyczerpania na placu tanecznym.

Podobne ugrupowanie tancerzy spotykano w t. zw. tańcu królewskim. Wokół orkiestry tyłem obróceni stawali królowie i wodzowie plemienia, dreptając w miejscu w rytmie tanecznym. Wokół nich w ogromnem kole tańczyło całe zwrócone do nich twarzami plemię, względnie mieszkańcy danej miejscowości.

O znacznie dziwniejszym tańcu, z którym spotkał się w Kalifornji, wspomina nam misjonarz Salva-Tierra. Tancerze w liczbie 300 trzymali w ustach w czasie tańca jaszczurki. Inna relacja opowiada nam o krwawych tancerzach zdegenerowanego plemienia Sonora, które tańczyło ze skalpami swych wrogów w ręce. Inni wreszcie odcinali dłonie nieprzyjaciół i na nich odpowiednio związanych podawali pewnego rodzaju czekoladę tańczącym, którzy ją jakkolwiek pomieszaną z krwią, łapczywie pili. Prawdziwość tych ostatnich danych musimy podać w wątpliwość. Hiszpanom, a zwłaszcza duchownym katolickim, zależało bardzo, na rozprzestrzenieniu najpotworniejszych wersyj o okrucieństwie Indjan, by tak usprawiedliwić potworne rzezie, dokonywane przez współziomków.

Szczególny czar wywierały tańce krajowców, t. zw. tańce ptaków, gdzie zarówno kobiety, jak i mężczyźni ubrani byli w kostjumy całkowicie sporządzone z piór ptasich. Do ramion przyczepiali jedni i drudzy skrzydła, któremi wykonywali różne gesty taneczne. Tak możemy zrozumieć skąd powstały starożytne wyobrażenia asyryjskie, syryjskie o skrzydlatych demonach, które w ewolucji form plastycznych doprowadziły do dzisiejszej konwencjonalnej postaci anielskiej. I tam tańce o charakterze pierwotnie totemicznym musiały dać początek owym wyobrażeniom.

Meksykanie znali również tańce kwiatów i różnorodnych roślin. Dalej tańce jeleni, pum, niedźwiedzi i wielu innych miejscowych zwierząt, między innemi znany z legend słynny taniec jaguara. Taniec jaguara polegał na tem, że złapanego jeńca umieszczano na małem, okrągłem podwyższeniu, obnażano całkowicie i posypywano jasną mąką, do ręki wkładano mu drewniany miecz, którym bronił się przed napastnikiem, ubranym w skórę jaguara z prawdziwym metalowym mieczem w ręku. Jeżeli potrafił się wybronić, nie otrzymawszy żadnej rany, był wolnym. Ale to nie zdarzało się prawie nigdy.

Bogactwo flory i fauny meksykańskiej umożliwiło nieskończoną mnogość odnośnych tańców, poświęconych zwierzętom i roślinom, do dawnych legend dołączyły się nowe, stworzone na tle biblji i tradycji kultów religji katolickiej, przybierające również bogate i zróżnicowane formy.

Dr. W. J. D.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Przysłowie mówi, że tam gdzie jest dużo światła, jest też dużo cienia. Tak więc i ostatnia wystawa w Warszawie miała kilka słabszych stron, a niema najmniejszego powodu, aby pomijać ujemne fakty. Przeciwnie: lepiej krytykować to, co na słuszną krytykę zasługuje, bo w ten sposób tylko można wykorzenić błędy w przyszłości.

Prospekt wystawowy nie podawał, jakie kryterja będą stosowane przy ocenie eksponatów. Kryterja te zamieszczone są dopiero w katalogu wystawowym, który dostał się do rąk wystawców dopiero wtedy, gdy „skarby" ich były już ułożone w witrynach. Wytyczne sądu konkursowego nie były w stu procentach słuszne, bo jeśli miało się brać pod uwagę rzadkość okazów, to np. zbiór znaczków pocztowych, w którym niema ani jednego egzemplarza notowanego ponad sto Mk. Michla, nie powinien był być nagrodzonym, a to że objętość eksponatu nie miała zaważyć na szali Temidy wzięto znów zbyt ściśle i... znaczków umieszczonych w albumach wogóle nie przeglądano (!!). W ten sposób wyeliminowano zbiory ogólne od nagród czołowych i z natury rzeczy eksponaty znaczków polskich musiały uzyskać pierwszeństwo. Niezmiennie trudnem bowiem jest u nas osiągnięcie „nowych wyników z punktu widzenia filatelistycznego" przy znaczkach zagranicznych, nie mówiąc już o pozaeuropejskich, skoro niema materjału do badania. Przedstawienie też pewnego kompletu jest więc wyczynem zasługującym na uznanie.

Tak też publiczność interesowała się raczej tem, czego nie spotyka się w życiu codziennem, a specjalizowane do przesady rozmaite znaczki, (czasem pospolite), oglądali z zainteresowaniem tylko fachowcy.

Zjazd Związku Stowarzyszeń Filatelistycznych postanowił, że ogólnopolskie wystawy mogą się odbywać raz na pięć lat, z tym wyjątkiem, że w roku 1940, jako w setną rocznicę wydania pierwszego znaczka na świecie, odbędzie się specjalna wystawa. Łódź pretenduje do organizacji tej imprezy. Dzisiaj zainteresowanie znaczkami jest lekko licząc dwa razy większe, jak przed dziesięciu laty i dlatego trzeba się było liczyć z tem, że całe tłumy zwiedzać będą wystawę.

W. H.



Najnowsze znaczki Brazylji (u góry), Szwajcarji (środkowy rząd i prawy w rzędzie dolnym), oraz Francji.

ARTYŚCI NA CENZUROWANEM

Najmłodsze siły dramatyczne stolicy:



MARJA NOBISÓWNA ←

JADWIGA KURYLUKÓWNA →



FOT. VAN DYCK – WARSZAWA

Utartym zwyczajem, po okresie fars, wystawianych w warszawskich teatrach w karnawale, przyszła kolej na poważne sztuki o założeniu dramatycznem, siłą więc rzeczy na pierwszy plan wysuwają się aktorskie sylwetki dramatyczne. Z ostatnich premjer teatrów stołecznych należy wyliczyć: „Niewiniątka" w Teatrze Kameralnym, „Asmodeusz" w Teatrze Małym i „Szóste piętro" u Jaracza, sztuki o poważnych konfliktach społecznych i duchowych.

Godnem jednak podkreślenia jest fakt, iż na pierwszy plan wysunęły się w wymienionych sztukach młode artystki, dopiero debiutujące w poważnych i odpowiedzialnych rolach dramatycznych. Do niedawna z nazwiskiem Marysi Nobisówny kojarzyło się pojęcie lekkiej piosenki i tańca rewjowego. Jadwigę Kurylukównę znano jedynie z maleńkich ról. — Dziś są to aktorki, które jedną dobrze zagraną rolą, postawiły się w rzędzie czołowych artystek najmłodszego pokolenia.

* * *

Karjera Marji Nobisówny jest tak ciekawą, że warto pokrótce opowiedzieć jej historję. Pierwsze kroki na scenie stawiała Marja Nobisówna w Operze Warszawskiej, w... balecie, jako tancerka. Wyróżniwszy się pięknym tańcem i doskonałemi warunkami zewnętrznemi, przeszła następnie do rewji, występując kolejno w Wielkiej Rewji a następnie w Teatrze „13 rzędów" i w Cyruliku Warszawskim., ciągle tańcząc i śpiewając lekkie rewjowe piosenki. Młodziutka, zgrabna o milutkiej buzi artystka-tancerka, zdobywała sobie coraz bardziej publiczność; nikt nie przypuszczał jednak, a i sama panna Marysia o tem zupełnie nie marzyła, aby jej nazwisko mogło się wreszcie ukazać na afiszu obok nazwiska Stefana Jaracza, pierwszego polskiego aktora.

Jakże się to stało? Bardzo poprostu. Na świecie dzieją się różne cuda, ale wszystkie w bardzo zwyczajny sposób. Jaracz miał wystawić sztukę „Szóste piętro". Potrzebował do sztuki młodej aktorki, odpowiedniej do roli młodej dziewczyny. Nie posiadał takiej w zespole. Rozpoczął poszukiwania i znalazł ją w „Cyruliku Warszawskim". Krótkie pertraktacje z Jarossym o zwolnienie p. Nobisówny z kontraktu — i rzecz załatwiona. Jaracz poprostu wyczuł, „odkrył" — jak to się mówi, w Nobisównej dobrą dramatyczną aktorkę.

Panna Marysia, zapytana o przebieg tej przełomowej w jej karjerze scenicznej historji, mówi krótko, z nieukrywanym entuzjazmem, prawdziwie po dziewczęcemu:

— Więc była pani zadowolona z takiego obrotu sprawy — pytam.

— No! Ba!

— I jest pani szczęśliwa?

— O Boże! I jak jeszcze!

Tak to wygląda dziś, gdy już jest po premjerze, po oczekiwanych z drżeniem serca recenzjach, które wszystkie były bardzo przychylne. Ileż jednak trudu, ile pracy denerwującej było na próbach. Rola Jadzi w „Szóstem piętrze" jest trudna i zagranie jej wymagało nielada zdolności dramatycznych. Jadzia jest biedną, ułomną dziewczyną, mieszkającą na szóstem piętrze i nie wychodzącą nigdy z domu. Nieszczęśliwą uwodzi piękny „zabójczy" młodzieniec. — W obawie przed urodzeniem dziecka, Jadzia popełnia zamach samobójczy. Rolę tę zagrała Nobisówna bardzo szczerze i z dużą ekspresją. Prawdopodobnie... nie wróci już na scenę rewjową.

* * *

Jadwiga Kurylukówna jest absolwentką Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej. Niezwłocznie po ukończeniu szkoły, otrzymała engagement do teatrów TKKT, a zadebiutowała odrazu większą rólką w „Klubie Pickwicka" w Teatrze Polskim. Następnie przyszły jednak rozmaite małe i... jeszcze mniejsze — tak zwane w gwarze aktorskiej „ogony", pokojóweczki, epizody, przez które przebrnąć musi każda młoda aktorka. I wreszcie przyszła rola Emanueli w „Asmodeuszu" w Teatrze Małym.

Rola Emanueli wymagała czegoś więcej, niż poprawnej gry aktorskiej. Emanuela, to siedemnastoletnia dziewczyna, niewinna, głęboko wierząca i praktykująca. Mówią o niej w sztuce: „oświetlona od wewnątrz" — „jedna z tych istot, której sam widok wystarcza, by odzyskać wiarę we wszystko".

To piękne duchowo i czyste dziecko zakochuje się pierwszą miłością w młodym chłopcu. Przeżywa wielki wewnętrzny konflikt między uczuciem miłości do wybranego, a uczuciem dla Boga. Biedną jasną duszyczkę targają wielkie, groźne uczucia, z któremi nie może sobie dać rady.

Jadwiga Kurylukówna, aczkolwiek był to debjut w poważnej roli dramatycznej, zagrała swą rolę naprawdę pierwszorzędnie. Jej 17 lat, jej postać „oświetlona od wewnątrz", są najbardziej, jak mogły być, autentyczne i wzruszające widza. Artystka, choć z wielką skromnością mówi o swym występie i zażenowaniu dobremi recenzjami, wyjaśnia nam:

— Opracowując na próbach rolę, ciągle miałam na myśli te dwa zdania, charakteryzujące postać Emanueli. Taką trzeba było być, i do tego usilnie dążyłam... No, i dobrze wiem, że jeszcze idealną nie jestem. Ale na drugi raz poprawię się — wierzy mi pan?

— Ależ tak, wierzę! — odpowiadam szczerze.

Romil.

WRÓŻBA CYGANKI

★

KAZIMIERZ ŁUKOCZ

NOWELA

Łagodne chybotanie wagonu i powoli zapadająca ciemność usposabiały do snucia marzeń i odnajdywania w duszy refleksyj nad własnem życiem. Krajobraz coraz bardziej monotonny dzięki zacieraniu się konturów nie przedstawiał większego zainteresowania dla pasażerów. Raz po raz tylko przed wielkiemi szybami przedziału pierwszej klasy zamajaczyły jakieś kominy fabryczne, czasem jakaś wieża kościelna lub większy kompleks gmachów. Nadrenja, przez którą mknął pociąg z Paryża, był ciekawym krajem za dnia, w nocy jednak wszystkie krajobrazy świata są do siebie podobne.

W przedziale siedziało sześć osób. Każda z nich była w swoim rodzaju ciekawym typem, odrębnym, a nawet bardzo charakterystycznym. Na pierwszy już rzut oka można było poznać, że pan siedzący przy oknie, ubrany z niedbałą elegancją, dostosowaną zresztą do okazji, był Francuzem. Raz po raz zerkał ciekawie na piękną, młodą kobietę, siedzącą vis-à-vis, czytającą jakiś romans w żółtej, typowej dla francuskiej beletrystyki okładce. Zdawał się niecierpliwić, że zbyt wielka ilość współpasażerów i niesprzyjające okoliczności nie pozwalają mu nawiązać z sąsiadką rozmowy. Od czasu do czasu, jakby rezygnując z swych planów, zatapiał wzrok w „Figarze", ale wnet odrywał od niego oczy. Obok Francuza siedział o niezwykle ciekawej twarzy człowiek, w którym zdawały się walczyć o przewagę różne kultury i różne charaktery. Był przystojny, młody, miał spojrzenie żywe i inteligentne, a jednak jakaś brutalność niweczyła wnet to pierwsze dobre wrażenie. Nerwowo palił papierosa, którego wyjmował z małej papierośnicy z brzozy syberyjskiej. Zwracając się o pewne informacje do sąsiada mówił po francusku dziwnym, miękim akcentem. Każde jego słowo naccchowane było przesadną uprzejmością, która jednak robiła wrażenie jedynie zwykłej formalności, nie mającej głębokiego podkładu. Trzecim pasażerem siedzącym na stronie przeciwnej młodej kobiety, był starszy Amerykanin, którego narodowość znamionował nietylko strój i wygląd, ale przedewszystkiem zachowanie, swobodne, pewne siebie i nieco hałaśliwe. Na przeciwległej ławce królowała piękna kobieta, zwracająca uwagę Francuza. O postaci bardzo zgrabnej, chociaż nieco pełnej, młoda kobieta posiadała zarówno w swej twarzy jak w ruchach i całej aparycji jakiś nieodparty czar, kuszący i władczy. Zdawała się wiedzieć o swej urodzie egzotycznej brunetki o dziwnie pięknej cerze i regularnych rysach, stanowiących ze zmysłowemi, pełnemi ustami dziwny kontrast. Ubrana skromnie, ale bardzo wytwornie, nosiła jako jedyną biżuterję wspaniały rubin w pierścionku, który jej piękne ręce o długich, foremnych niezwykle palcach, dodawał dziwnego uroku. Tych czworo osób mogło dla psychologa stanowić ciekawy materjał do obserwacji, podczas gdy pozostali dwaj pasażerowie, starszy pan w okularach i młody businessman, jadący zapewne w interesach swej firmy, niczem nie zwróciliby uwagi w szarym tłumie, od którego mało czem się różnili.

— Kiedy będziemy w Berlinie? — zapytał Francuz swego sąsiada.

Niespokojny brunet, wertujący właśnie jakiś notatnik, odparł:

— Zdaje się, że o dwunastej w nocy! — odparł swym dziwnym akcentem.

— O dwunastej piętnaście! — skorygował Amerykanin, prawie nie zwracając się w stronę osób, do których mówił.

— Szkoda, będzie już zapóźno na zobaczenie „Rigoletta" z Melli Valdą, która właśnie dziś po raz ostatni śpiewa w operze! — zauważył Francuz.

Amerykanin popatrzył zaciekawiony na niego.

— Musi pan być nielada amatorem muzyki, że chce się panu zaraz z pociągu iść na operę! — zauważył nieco ironicznie.

— Tak, a pozatem mam dziwnego pecha, bo nigdy jej nie słyszałem!

Amerykanin uśmiechnął się dobrodusznie.

— Słyszałem ją trzy razy i na całe życie mam dosyć! — odparł śmiejąc się. — Wogóle opera to przestarzała forma sceniczna. Co do mnie, to wybiorę się do „Residenz-Café", by tam popatrzeć na piękne berlinki!

— Widzę, że pan jest nienasycony! — Francuz zalotnie spojrzał na swoje vis-à-vis. Tyle godzin jedzie pan w towarzystwie pięknej kobiety i mimo to...

Piękna brunetka udawała, że nie słyszy nieco silnej aluzji Francuza, który widocznie jednak zamierzał skorzystać z okazji, aby tak czy owak poznać nieznajomą.

Amerykanin obrzucił mówiącego złem spojrzeniem.

— Owszem, jestem nienasycony, jeżeli pan tak woli. Zresztą wie pan, kobiety a kobiety... Dancing daje miłą atmosferę wesołej zabawy, bez konsekwencji, bez komplikacji, bez dramatów.

Chociaż słowa jego były zdawkowe i zwykłe, i bynajmniej dotychczas nie zdradzał zainteresowania piękną brunetką, spojrzał na nią raptownie, jakby chcąc stwierdzić skutek swych słów. Vis-à-vis siedziało spokojnie, czytając w dalszym ciągu francuską powieść i nie zwracając zupełnie uwagi na słowa obu mężczyzn.

Widocznie sytuacja, panująca w przedziale, znudziła czy zniechęciła Francuza, gdyż w pewnej chwili wstał i wyszedł na korytarz, podążając do wagonu restauracyjnego.

W sali toczącej się po szynach restauracji było już sporo gości. Przeważali Francuzi i Anglicy. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że wielu z nich to turyści, typowi adepci Baedeckera, jadący do stolicy Rzeszy, by obejrzeć wszystkie galerje obrazów, zwiedzić zamek Sanssuci i inne zabytki. Mówili z podnieceniem o przejściach, które ich czekają, wymieniali nazwy hoteli dobrze zarekomendowanych przez znajomych i spierali się na temat wygód w hotelach niemieckich w porównaniu do francuskich i angielskich.

Francuz rozejrzał się po sali, chcąc znaleźć najwygodniejsze i najciekawsze miejsce. Służbisty kelner, chodzący „płynnym" krokiem, spowodowanym kilkuletniem przebywaniem w kołyszących się wagonach, czekał mile uśmiechnięty na rozkazy wytwornego gościa.

Wkrótce zjawił się i Anglik. Podszedł do swego sąsiada przedziału i przysiadł się do jego stolika.

— Nudna ta droga! Nie lubię tak długo siedzieć na jednem miejscu. Chciałem lecieć samolotem, ale trochę mnie serce bolało, więc wolałem nie narażać się na zmianę ciśnienia. To w takich razach bardzo przykre, — tłumaczył swemu towarzyszowi.

— Byłaby wcale miła ta podróż, gdybyśmy mogli pogawędzić z naszą uroczą pasażerką, ale zadużo jest osób, rozmowa taka się nie klei...

Znów badawcze i nieżyczliwe spojrzenie Amerykanina spoczęło na rozmownym Francuzie.

— Wy Francuzi — odezwał się po chwili — jesteście dziwnie pewni siebie. Zdaje się wam, że każda kobieta musi się w was zakochać. A tak nie jest, drogi panie!

— Oczywiście, że to rzecz indywidualna — odparł Francuz nieco urażony. — Zasadniczo każda kobieta jest do zdobycia trzema sposobami: zapomocą miłości, pieniędzy i władzy. Chodzi tylko o to, aby jedną z tych rzeczy mieć w ręce jako broń zaczepną...

Amerykanin uśmiechnął się drwiąco.

— Tylko pieniądze, panie, tylko pieniądze grają w życiu rolę. Na świecie można kupić wszystko, zacząwszy od władzy, a skończywszy na miłości kobiety.

— O, przepraszam, — oponował pan de Tessé, literat i dziennikarz z Paryża, nakładając sobie na talerz drugi płatek zimnego mięsa, — popełnia pan gruby psychologiczny błąd. Z chwilą, kiedy kobieta kocha dla pieniędzy, to uczucie przestaje być miłością i staje się zupełnie czemś innem! Pan ma pojęcia nieco zbyt... uproszczone! — dodał, pochylając się ku Amerykaninowi, mr. Josuah Reynoldowi, jakby chciał się przyjrzeć zbliska jego oczom, które w tej chwili musiały nabrać wyrazu upokorzenia.

Reynold zapalił grube hawańskie cygaro.

— Kobiety kochają siłę, a siła ujawnia się w zdobywaniu pieniędzy — zaopinjował bezapelacyjnie.

Rozmowa nie kleiła się. Obaj mężczyźni zdali sobie w tych kilku chwilach rozmowy jasno sprawę, że stali się rywalami. Nagrodą ich starań miała być piękna ciemnowłosa nieznajoma, jadąca w przedziale. Wiedzieli, że, chociaż nie padło żadne decydujące słowo, chociaż ani jeden ani drugi nie wyraził jasno swych myśli, chodziło tu nietylko o zwycięstwo nad sercem kobiety, ale że zwycięstwo miało im przynieść poczucie wyższości jednego nad drugim. Pierwotny instynkt walki, przejawiający się w człowieku pod tak różnemi postaciami, doszedł do głosu. Turniej się zaczął.

— — — — — — — —

Sala dancingu odwiedzanego głównie przez przejezdnych wszystkich narodowości, zciemniała się powoli, gdyż para tancerek meksykańskich miała właśnie wykonać swoje popisowe ewolucje choreograficzne. Publiczność zwyczajem dancingowym mało zwracała stosunkowo uwagi na te popisy, ale chętnie witano to zciemnienie lamp, które zazwyczaj aż nadto jaskrawo świeciły.

Przy jednym ze stolików niedaleko miejsca przeznaczonego dla tańczących par siedział we fraku z tuberozą w klapie Raoul de Tessé, rozglądając się z ciekawością po sali. Będąc zaledwie drugi raz w Berlinie, z zainteresowaniem przyglądał się publiczności, która choć tylko w części miejscowa, jednak przedstawiała dla niego wdzięczny materjał obserwacyjny. Właśnie był w trakcie pisania książki reportażowej „Berlin à midi et minuit", więc z całą dokładnością sprawozdawcy a intuicją literata notował w pamięci wszelkie drobne nawet, szczegóły z życia berlińskiego. Był nieco zły, gdyż umówił się ze swym przyjacielem Albertem Meunier, sekretarzem ambasady, który, widocznie zatrzymany urzędowemi sprawami, jakoś nie przychodził. Ale Raoul de Tessé nie był człowiekiem, któryby dał się zbić z tropu drobnemi nienowodzeniami. Okiem znawcy wielkiego świata, świata salonów i świata dancingów, ocenił postacie, siedzące wokoło niego, otaksował ich pochodzenie, majątek, inteligencję i znaczenie w życiu i bawił się dobrze obserwowaniem kilku ciekawszych typów.

Światła znów rozjarzyły się swym blaskiem, burza oklasków nagrodziła kłaniające się nisko dwie tancerki meksykańskie, któ-

re uśmiechnięte stereotypowo, robiły wrażenie zmęczonych i pokrzywdzonych istot.

Naraz oczy Raoula de Tessé zajaśniały nowym blaskiem: do sali weszła w wspaniałej brokatowej sukni koloru łososiowego, z głębokim dekoltem, nieznajoma z wagonu. Miała na rękach długie rękawiczki, w jednej ręce trzymała wachlarz z czarnych strusich piór. Olbrzymi rubin otoczony brylantami, lśnił w jej kruczych włosach, jako jedyna ozdoba jej pięknej głowy.

De Tessé nie mógł oderwać oczu od pięknej kobiety. Był tak dalece pochłonięty jej widokiem, że nie zauważył, iż obok niej kroczył z dumnie wyprostowaną postacią, sąsiad jego, Amerykanin Josuah Reynold. — Raoula aż zatrzęsło ze złości: ten pyszałkowaty Amerykanin zdołał jednak poznać piękną nieznajomą i ubiec go w jej względach!

Nie dokończył jeszcze snuć tych myśli, gdy poczuł na ramieniu lekkie uderzenie i usłyszał głos Meuniera.

— Ça va, vieux? Co się tak gapisz, jakbyś zobaczył ducha?

Przystojny młody człowiek, o wojskowej nieco postawie, usiadł wygodnie przy Raoulu, jak bywalec, który czuje się w lokalu nie przybyszem na jeden wieczór, lecz stałym, szanowanym gościem.

— Obserwuję pewną panią, z którą przyjechałem do Berlina. Jest cudna! Siedzi z nią mr. Raynold, Amerykanin, który również jechał z nami, a który, jak się zdaje, zdobył jej łaski.

— Zaraz to sprawdzimy! — odparł, śmiejąc się Meunier. — Znam tu trochę ludzi i jeżeli oboje przedstawiają jakieś wartości towarzyskie czy finansowe, to bardzo możliwe, że ich znam.

Popatrzył we wskazanym kierunku.

— Mój drogi! Zagadka wyjaśniona: mister Raynold jest potentatem finansowym Ameryki i posiada olbrzymie fabryki naczyń kuchennych. Gdybyś mniej siedział w literaturze, a więcej żył życiem realnem, musiałbyś o nim słyszeć. A ona? Niestety tego ci nie wyjaśnię, bo ją widzę po raz pierwszy w życiu. Ale to nic. Dowiemy się.

Reynold lustrował z zadowoleniem publiczność, w obecności której chętnie byłby się głośno pochwalił swą uroczą towarzyszką. Ona siedziała jakby zamyślona, mówiła mało i popijała podanego szampana bez przekonania. W pewnej chwili Reynold dostrzegł obu panów: ukłonił się uprzejmie, z uśmiechem radości na twarzy, którym starał się podkreślić swe zadowolenie, że on a nie jego rywal z pociągu Paryż—Berlin znajdował się w towarzystwie brunetki.

— O, widzisz, kłania się bestja! zauważył Raoul de Tessé. — Chełpi się swą bogdanką. Sale type! Wszystko się we mnie gotuje ,jak pomyślę, że naprawdę tylko pieniądze decydują o miłości kobiety!

— Nie trać nadziei, Raoul! Jesteś przystojny, inteligentny, miły, prawdziwy charmeur. Jestem pewny, że wolałaby ciebie, jak tego tępawego businessmana z Chicago czy Filadelfji Tylko trzeba ją poznać... To zresztą nie tak trudne.

Zamyślił się na chwilę: widocznie szukał właściwego sposobu, aby dotrzeć do pięknej nieznajomej. Nie przeszło jednak nawet pięć minut, gdy mr. Reynold wstał od swego stolika, kierując się do obu młodych ludzi.

— Przypominam się panu — rzekł, podając rękę Raoulowi de Tessé — będzie nam bardzo miło, jeżeli panowie zechcą przysiąść się do nas. Będziecie zapewne niemniej oczarowani panią Lu Valterra, niż ja jestem — dodał zwycięsko, spoglądając na pana de Tessé..



— Nie wątpię i dlatego, chcąc sprawdzić zbliska urodę pańskiej towarzyszki, chętnie przyjmujemy zaproszenie — odparł Raoul.

Po chwili gawędzili po przyjacielsku. Czarnowłosa nieznajoma była początkującą artystką filmową, której jednak reżyserzy paryscy i berlińscy przepowiadali wielką przyszłość, tak zpowodu jej wielkiej i oryginalnej urody, jak też dzięki jej ekspresyjnej i ciekawej grze. Była Amerykanką z pochodzenia, a rodzina jej mieszkała w jednej z republik południowych. Jakkolwiek mówiła swobodnie, nieraz żartując na temat swego incognita w podróży, to widać było, że coś, jakiś nieokreślony szczegół odbiera jej humor. Przyjaźń jej z Reynoldem datowała się, jak obliczał sobie Raoul, odniedawna, bo może zaledwie od kilku dni, w wagonie przecież się nie znali, a mimo to miał wrażenie, że oboje przeżyli z sobą wiele wspólnych momentów. Lu Valterra nie była znowu też tak łatwą zdobyczą, mimo wielkiego majątku Reynolda, aby on mógł stać się w tak krótkim czasie jej kochankiem, a z drugiej strony obaj Francuzi mieli jednak wrażenie, że znajomość obojga datuje się od znacznie dawniejszych czasów. Coś w tem wszystkiem było nie w porządku.

— Czy pani zamierza występować teraz w jakimś filmie, czy też podróż pani ma charakter, żeby się tak wyrazić „turystyczny"?— zapytał Meunier.

Lu Valterra zamyśliła się na chwilę, lecz Reynold odpowiedział zamiast niej.

— Pani Lu jest ciekawa zobaczyć stolicę wielkiego państwa i dlatego paprostu przyjechała do Berlina. Jej projekty filmowe jeszcze są nieokreślone.

Orkiestra zagrała rumbę. Rwany rytm, wielka ekspresja muzyki, dająca złudzenie podzwrotnikowych, ognistych namiętności, porwała Raoula.

— Czy zechce pani ze mną zatańczyć? — zapytał piękną sąsiadkę.

— Owszem, bardzo lubię tę muzykę. Jos wybaczysz!

Gdy para tancerzy zjawiła się w kole, przeznaczonem dla tańczących, cała nieomal publiczność, siedząca opodal dała wyraz swemu zachwytowi mniej lub więcej głośnemi uwagami. Oboje byli skończenie piękni: on rasowy, rycerski, wytworny, najprawdziwszy wyraz starej kultury francuskiej, ona ognista, kapryśna nieco i władcza Hiszpanka, zalotna ale pełna dumy, kusząca, ale równocześnie nie poddająca się woli mężczyzny.

— Zakochałem się w pani od pierwszego wejrzenia! — rozpoczął rozmowę Raoul de Tessé. — Niestety muszę mówić tak banalne rzeczy, bo chcę, aby pani znała moje uczucia. Co pani chce! Takie jest życie... Dziś panią widzę, a jutro może pani będzie o sto mil stąd! — Mówiąc, obserwował skutek swych słów i wiedział dobrze, że gdyby nawet Lu Valterra uważała, że są one zbyt obcesowe, to jednak nie będzie mogła w danej sytuacji tego odpowiednio zamanifestować.

— Jest pan nawet, jak na Francuza nieco zbyt zdobywczy! — rzekła po chwili, patrząc mu drwiąco w oczy.

Ale spojrzenie w jego piękne oczy stało się początkiem jej kapitulacji. Oczy Raoula de Tessé wyrażały tak szczery zachwyt i taką miłość, że miłość własna młodej kobiety wzięła górę nad wszelkiemi innemi uczuciami.

— Owszem, chciałbym być zdobywczy, bo panią kocham i podziwiam, a co więcej wiem, że pani ponad wszystko ceni miłość. Wnet skończy się rumba: kiedy i gdzie mogę panią zobaczyć? Może jutro w kawiarni...

— Nie, jutro u mnie, Lützowstrasse 15, o piątej. Będzie kilka osób. Nie chce i nie mogę robić tajemnicy...

Dokończenie na str. 12-tej.

KARTA EUROPY ZMIENIA SIĘ...

Ostatnie sto pięćdziesiąt lat stanowi w życiu narodów ważny moment przełomowy: krok za krokiem dochodziły one do poczucia własnej wartości i własnych praw, i drogą licznych walk i rewolucyj ustanowiły ostatecznie zasadę, że: „nationis salus suprema lex". Oczywiście, że powolne wyrabianie się zasady tej śledzić musimy na przestrzeni długiego czasu, by zauważyć różnice z poprzedniemi koncepcjami politycznemi, których najbardziej charakterystyczna była właśnie odwróceniem a raczej zaprzeczeniem poprzednio podanej: „regis voluntas suprema lex esto". Maksymę tę wpisał, krótko przed wojną cesarz konstytucyjny Niemiec a właściwie jej konstytucyjny samodzierżca Wilhelm II, w złotej księdze na ratuszu w Bremie czy Hamburgu, wzniecając liczne komentarze. Maksyma, którą starano się zakończyć wojnę trzydziestoletnią o prymat religji katolickiej czy protestanckiej „cuius regio eius religio, t. j. że o przynależności poddanych do danej wiary decyduje panujący, jeszcze jaskrawiej charakteryzuje pojęcia ówczesne. Mieszkaniec kraju, dziś zwany naogół „obywatelem" dawniej poddanym, był objektem obrotu politycznego, był objektem transakcji nie zawsze wychodzących mu na korzyść. Zresztą nie pytano się go o zdanie: przyjmował wyrok z poddaniem się woli, uważając, że tak jest dobrze. Pojęcie plebiscytu, dziś tak modnego i... tak nieprowadzącego do wyjaśnienia sytuacji, było w XVIII wieku jeszcze nieznane. Znali je Grecy, ale demokracja grecka daleką była od tych czasów. Zresztą krajano kraj, jak tort imieninowy, tworzono nowe państwa wedle widzimisię monarchy czy jako apanaże dla wybitnych osobistości, dziedziczono królestwa drogą wiana małżeńskiego, jak się dziś dziedziczy dom czy majątek ziemski. Nic w tem zresztą dziwnego, wziąwszy pod uwagę brak oświaty wśród szerokich warstw ludności, brak zrozumienia dla życia społecznego i państwowego i wkońcu, jako rezultat tamtych właściwości, brak ogólnej reprezentacji w sejmie.

„Prawo o stanowieniu narodów" ujmowano inaczej. Oto liczne terytorja, miasta itd. były jednostkami suwerennemi, miały swe własne prawa, zwyczaje, swych własnych władców, baczących oczywiście na interesy swej domeny. Gdy Francja dzięki unifikacyjnej polityce kilku swych królów, zwłaszcza Ludwika XI, Henryka IV i Luwika XIV, zrosła się w jedną całość z wielu księstw, hrabstw i indywidualnie rządzonych terytorjów, Niemcy, nie posiadające tak silnych władców, jak też i Włochy, rozbite były do ostatnich można powiedzieć czasów na niezliczone drobne państewka, mające nie tylko własne armje, urzędy, monarchów i politykę, ale własny patrjotyzm. Te niemieckie t. zw. „Duodezstaaten", których w Rzeszy, mimo starań Bismarcka było do r. 1918 aż 25, były pozostałością ustroju feudalnego średniowiecza, i każde z nich pilnie strzegło swych praw suwerennych wobec groźnego konkurenta pruskiego. Ale były to już tylko resztki bujnie rozkrzewionego partykularyzmu świętego Państwa Rzymskiego niemieckiego narodu. Trzon tych małych państewek tworzyły elektorstwa w liczbie siedmiu, a poprzez większe księstwa jak Würtembergja, Badenja itd. przechodzimy do drobnych zupełnie tworów politycznych, księstw i hrabstw a nawet wolnych terenów, t. zw. Reichsritterschaften, które możnaby porównać do majątków prywatnych wyposażonych w pewne publiczno-prawne przywileje. Oczywiście, że wszyscy ci drobni suwereni starali się dorównać przepychem wielkim swym kolegom, otaczali się w miarę możności etykietą dworską, tworząc pozory władzy na miejsce jej samej. Mniejsi suwereni np. hrabiowie udzielni zasiadali na



Na lewo: Kongres wiedeński restytuował wielu przez Napoleona I zdetronizowanym monarchom ich dziedziczne trony.



Powyżej: Oto część Nadrenji, mogąca służyć za przykład rozczłonkowania Rzeszy niemieckiej w XVIII i XIX w. Mapa przedstawia na północy Księstwo Westfalskie, na południu posiadłości domu ks. Wied, t. j. hrabstwo Crichingen, Saarwellingen, Rollingen itd., ks. Berg, ks. Waldck i wiele innych mniejszych państewek. (Mapa z r. 1807 z Bibljoteki XX. Czartoryskich).



Na lewo: Część Włoch środkowych, w której znajdowało się do połowy XIX w. Państwo Kościelne (południowy-wschód), graniczące z królestwem Obojga Sycylij na południu, na północy zaś z Wielkiem Księstwem Toskany, oraz Republiką wenecką. Półwysep naprzeciwko wyspy Elby tworzył Księstwo Piombino. (Mapa z Biblj. XX. Czartoryskich).

t. zw. ławach hrabiowskich, których było kilka, np. westfalska, szwabska itd. tworząc w sejmie osobną grupę głosujących. Zresztą państewek tych powstawało co chwilę wiele, gdyż suwerenność zdobywało się też przez kupno danego terytorjum, nie tylko przez podniesienie go do wyższej rangi z głosem i fotelem w sejmie (mit Sitz und Stimme). Tak np. dom szląski Nostitzów nabył część hrabstwa Rieneck w elektoracie moguncki w r. 1673 i w ten sposób wszedł jako suweren do grona dynastów niemieckich. Gdy cesarz Maksymiljan zastawił hrabstwo Kirchberg baronowi Jakóbowi Fuggerowi i nigdy go już nie wykupił, całe terytorjum pozostało w tej rodzinie już jako suwerenne. Istniały „suwerenne" państewka o kilku tys. mieszkańców do r. 1918 ks. Schaumburg-Lippe z 46 tys. mieszk. itd. Bardzo często dane terytorjum wogóle nie grało żadnej czynnej roli w polityce a dla swych panów było jakby miłym dodatkiem do reszty dóbr, dającym przywilej równości z prawdziwemi suwerenami. Bardzo barwnie opisuje znany dyplomata XVIII wieku, ks. Karol de Ligne uroczystość objęcia władzy w takiem małem księstwie nadreńskiem. Nowy suweren starał się o możliwe zachowanie zewnętrznych oznak swej władzy nad kilku tysiącami poddanych, którzy składali mu hołd w starym rodzinnym zamku. To wielkie rozbicie terytorjalne Niemiec, które ustało dopiero po wojnie światowej, było od lat już przedmiotem starań unifikacyjnych, ale miejscowe tradycje dynastyczne, odmienne zwyczaje, były zbyt silne, aby doszło do zjednoczenia.

Weźmy do ręki rocznik statystyczny z r. 1838: Związek Niemiecki składał się wtedy z 38 państw, wśród których były dawno „zlikwidowane" Holsztyn, Nassau, dwa księstwa Anhalt, królestwo Hanoweru. Wolne Miasto Frankfurt itd. Wtedy w każdem z nich powiewała własna suwerenna flaga, dziś wywiesiły one wszystkie flagę ze swastyką.

Lecz podobne stosunki panowały też do r. 1860, względnie 1870 we Włoszech. I tam drogą odwiecznych wpływów politycznych Francji, Hiszpanji, Niemiec oraz na podstawie dawnych średniowiecza sięgających różnic dzielnicowych do poł. XIX wieku, istniały liczne państwa i państewka. — W pierwszym rzędzie trzeba wymienić Państwo Kościelne, zabrane przez królestwo Sardynji w r. 1870, następnie królestwo Obojga Sycylij czyli Neapolitańskie pod panowaniem Bourbonów, królestwo sardyńskie, w. księstwo Toskańskie, księstwo Parmy, Piacenzy, Guastalli, republikę Wenecką, Genueńską, ks. Mantuańskie, Massy i Carrary, Ferrary, Modeny, itd. Oczywiście, że i tam liczne zachodziły zmiany, wygasały dynastje i przekazywały państwo nowym suwerenom, np. w. księstwo Toskańskie przeszło po wygaśnięciu Medyceuszów na księcia lotaryńskiego Franciszka II, małżonka Marji Teresy, za utracone na rzecz Stanisława Leszczyńskiego ks. Lotaryńskie i do połowy XIX wieku pozostawało w posiadaniu Habsburgów. Dziesięć lat rządów Napoleona I. również odbiło się na Italji w postaci stworzenia nowych państw jako apanaży dla jego krewnych czy marszałków. Księstwo Piombino nadano szwagrowi Napoleona I, Felixowi Bacciochi, żonatemu z jego siostrą Elizą, księstwo Guastalli otrzymuje drugi szwagier ks. Kamil Boghese, żonaty z siostrą cesarza Pauliną, królestwo neapolitańskie po wypędzeniu Bourbonów otrzymuje trzeci szwagier cesarza Joachim Murat, żonaty z Karoliną Bonaparte, a dla marszałka Bernadotte tworzy Napoleon w r. 1806 księstwo Ponte Corvo, wykrajane z posiadłości papieskich, w którem mieszkało 6 tys. mieszk., a minister Talleyrand został lennym suwerenem cesarstwa jako książę Benewentu. Zresztą granice tych państewek były płynne i zależały od konjunktury politycznej. Jak wspomnieliśmy, również liczne miasta włoskie, podobnie jak w Niemczech, Lubeka, Hamburg, Brema, Frankfurt itd., były samodzielne politycznie jak republika genueńska, Raguza, San Marino itd.

W dzisiejszym układzie sił społecznych i politycznych, wspomniane przez nas partykularyzmy w granicach jednego narodu są dla nas niezrozumiałe, o tyle, że opierały się głównie na względach historycznych. Jak łatwo zauważyć z ostatnich wydarzeń, Europa dąży do unifikacji: pierwszym krokiem to przyłączenie Austrji do Rzeszy. Gdzie zajdzie następne przesunięcie granicy? Oto zagadnienie, które należy narówni do historji, jak do... jasnowidztwa.

Karta Europy zmienia się...

Jan Maleszewski.

Dokończenie ze str. 10-tej.

Raoul de Tessé czuł się szczęśliwy, jak nigdy. Cały wieczór zeszedł mu jak we śnie. Myślał tylko o dniu jutrzejszym.

— — — — — — — —

Piękna willa, otoczona ogrodem o dobrze utrzymanych ścieżkach i pięknie strzyżonych drzewach była berlińskiem pied-à-terre Lu Valterry!

Gdy Raoul de Tessé zadzwonił o piątej u bramy, serce pierwszy raz w życiu biło mu z emocyj. Co mu powie? Kim ona jest właściwie? Czy jej się podoba?

Lu Valterra siedziała przy małem biureczku, pisząc jakiś list. Salonik był wytwornie umeblowany, ściany jego zdobiły jedwabne obicia w kolorze żółtym.

Wręczając jej bukiet fiołków, Raoul złożył na jej dłoni długi pocałunek.

— Cieszę się, że pana widzę! — rzekła uprzejmie Lu Valterra.

— Czy to grzeczność towarzyska, czy prawda? — zapytał, uśmiechając się.

— Raczej prawda. Pan mnie zainteresował. Miałam dotychczas do czynienia z ludźmi, którzy zdobywali kobiety pieniądzmi, albo swą pozycją w świecie, a to jest upokarzające.

Gdy przeszło pół godziny, rozmowa obojga weszła na tory zupełnie już przyjacielskie i szczere. Dowiedział się, że Reynold wynajął dla niej tę willę, że znała go dawniej, a jedynie bojąc się, aby ich współpasażer, ów nerwowy człowiek o dziwnym akcencie, Sergjusz Matwiejew, znany reżyser, nie dowiedział się o jej znajomości z Reynoldem, udawała, że go nie zna. Dowiedział się też, że ma być zaangażowana do „Ufy" i wkrótce ma nakręcać film, oparty na tematach meksykańskich.

— Jest pani zagadką poprostu! — rzekł wkońcu Raoul de Tessé. — Reynold wynajmuje dla pani willę, obsypuje panią prezentami, udaje pani przyjaciela, a pani twierdzi, że pani nigdy nie była jego kochanką. Sergjusz Matwiejew krąży koło pani jak lew koło gazeli, a pani również wypiera się, aby żywiła dla niego uczucie miłości. Czegóż pani szuka, czego pani chce, do jakiego celu pani dąży? — W miarę, jak mówił, głos jego nabierał coraz silniejszych, prawie groźniejszych intonacyj. Miłość do pięknej Hiszpanki była prawdziwa, nietylko jak bywało nieraz w życiu Raoula de Tessé, sprytnie prowadzoną grą.

— Wszystko to dla pana niezrozumiałe i skomplikowane. Ale życie każdej niemal kobiety zawiera takie zagadki. Nie możemy być tak prostemi, jak wy, mężczyźni byście chcieli...

Twarz Raoula nabrała wyrazu źle tłumionej złości. Chociaż nie miał żadnych praw do pięknej Hiszpanki, to jednak uważając, że miłość ku niej robi go jej obrońcą i opiekunem, czuł się okradziony w swych prawach, a zazdrość o tamtych nie dawała mu spokoju.

— Muszę wszystko wiedzieć! — rzucił krótko, wpatrując się w jej oczy i ściskając jej piękną rękę w silnym, bolesnym niemal uścisku.

— Muszę? — spytała Lu Valterra drwiąco.

— Tak, muszę, bo cię kocham, bo nie pozwolę, aby jakikolwiek inny mężczyzna był twoim kochankiem lub mężem. Jesteś moją! Rozumiesz? Moją! — Mówił prędko, urywanemi zdaniami.

Wytworny i szukający dotychczas tylko miłosnych przygód, a nie poważnych i trwałych przeżyć, Raoul de Tessé był, tym razem, omotany najsprzeczniejszemi uczuciami. Dwuznaczna rola pięknej artystki, jej przyjaźń z Reynoldem, zaloty Matwiejewa, wszystko razem tworzyło obraz dosyć burzliwego trybu życia, co, jeżeli chodziło o szczerą miłość, nie było zbyt zachęcające. A mimo to, a może właśnie dlatego, Raoul de Tessé wiedział, że tym razem znajomość z Lu nie skończy się ani flirtem ani romansem ,jak dotychczas bywało, lecz, że losy ich są złączone na zawsze. Wielkie poczucie piękna, jakie górowało w intelekcie Raoula, poczucie wytworzone skutkiem wrodzonych inklinacyj i studjów malarstwa i rzeźby, było tutaj oczywiście ważnym współczynnikiem. Ale poza tem wiedział, a raczej przeczuwał, że serce Lu jest dobre, szczere i bez fałszu, ale że ona szuka właściwej drogi w tym wielkim świecie, w jakim przyszło jej się obracać. Wiedział, ile sideł zastawionych jest na piękną kobietę, ile doświadczenia i hartu woli trzebaby, aby pójść własną ścieżką, nie zaś podążyć za kimś.

— Co jest tajemnicą twego życia? — spytał rozgorączkowany.

— Zanim panu odpowiem, przytoczę to, co usłyszałam kiedyś w Meksyku od pewnej cyganki. Miałam wtedy lat dziesięć, ale dobrze zrozumiałam każde słowo i zapamiętałam je sobie. Żył wtedy mój ojciec, miał niewielką haciendę. Kiedyś przyszła do nas cyganka. Gdy zobaczyła mnie, wzięła moją rękę i poczęła wróżyć. „Czeka cię wielka przyszłość i duże szczęście, jeżeli wybierzesz właściwą drogę. Jako kobieta, trzy rzeczy będą cię w życiu nęciły i kierowały twemi krokami: pieniądz, chęć władzy i miłość. Wszystkie trzy rzeczy mogą dać ci szczęście, ale powinnaś dobrze się zastanowić, którą z nich wybrać. Widzę z twej ręki, że wybierzesz miłość, chociaż kiedyś, może za lat piętnaście będziesz bliska innego wyboru. Zjawi się pewien bogaty człowiek z Nowego Świata, który będzie cię kusił majątkiem. W ostatniej chwili odrzucisz go". Tak mówiła cyganka.

Zapanowała chwila ciszy. Raoul wpatrywał się w piękne oczy Lu, które śledziły jakby jakiś daleki obraz. Nie chciał mówić, aby nie przerwać dziwnie uroczego i uroczystego nastroju, jaki panował w saloniku.

— Dopiero dziś widzę, że cyganka miała rację. Dziwnie splotły się trzy drogi, które mogą mnie poprowadzić przez życie w tej właśnie chwili. Reynold jest tym bogatym człowiekiem, który mnie kusi swym majątkiem, Matwiejew może mi dać wielką karjerę filmową, sławę, oklaski tłumów, tysiączne interviewy w pismach, może ze mnie zrobić królowę ekranu. A pan...

— A ja? — głos Raoula stał się tak cichym, że przeszedł niemal w szept.

Zamiast odpowiedzi Lu Valterra zarzuciła pięknemu brunetowi ręce na szyję.

— — — — — — — —

W kilka tygodni później „Figaro" paryski zamieścił w dziale wiadomości towarzyskich krótką notatkę: „Dowiadujemy się o ślubie znanego literata i współpracownika naszego pisma, pana Raoula de Tessé z p. Lu Valterra, artystką filmową, która ostatnio dostała engagement do jednej z naszych wytwórni i wkrótce weźmie udział w nakręcaniu wielkiego filmu pt. „Wróżba cyganki". Państwo młodzi wyjechali w podróż poślubną do Meksyku".

NENUFARY
Fot. Mundi – Amst.



Postillons d'amour w przyrodzie

Kwiaty tak hojnie rozrzucone po ziemi ręką Przyrody mają dla nas wiele uroku. Przyciągają nasze oczy ich różnorodne kształty i cała skala najpiękniejszych barw, a niekiedy odznaczają się one wspaniałym zapachem, dlatego też stały się nawet symbolem naszych uczuć.

Mylilibyśmy się jednak, gdybyśmy sądzili, że to dla nas kwiety ustroiły się w ten wspaniały przepych. Strój kwiatów, ich barwa i woń mają służyć przedewszystkiem im samym. Kwiat ma spełnić bardzo ważną rolę w życiu rośliny, ma zapewnić byt gatunkowy. W nim dokonywują się cudowne przemiany, które prowadzą do zawiązania owocu z ukrytem wewnątrz nasieniem, które da życie przyszłej roślinie.

Aby spełnić swe zadanie musi kwiat zostać zapylony: pyłek z pręcików jednego kwiatu musi przedostać się na znamię słupka kwiatu drugiego. Jakąż drogę odbywają te maleńkie, mikroskopijne ziarenka pyłku, od których zależy zawiązanie owocu i wydanie nasienia? Sposoby, jakie służą kwiatom, mogą być bardzo różnorodne i wielce pomysłowe tak, że dało to nawet powód do rozważnia „inteligencji" kwiatów.

Niektóre z kwiatów, zwykle nikłe i niepozorne, pozbawione powabu i wonnego nektaru wysypują olbrzymie ilości pyłku, który, jak chmura pędzona wiatrem, przenosi się dalej, by dokonać zapylenia. Wiele z tych pyłków nie osiągnie swego celu i opadnie na ziemię, niektóre z nich jednak przynajmniej dostaną się na kwiat drugi, by „dopełnić swego obowiązku". Pylą się w ten sposób łany zbóż, wiecznie zielone sosny, leszczyna — jeden z pierwszych kwitnących z wiosną krzewów i wiele jeszcze innych. Botanicy nazywają takie rośliny wiatropylnemi.



Ziarna pyłku hiacyntu w silnem powiększeniu



Na osi kwiatowej magnolji widoczne są po odjęciu płatków — na górze owocolistki czyli słupki, na dole pręciki.

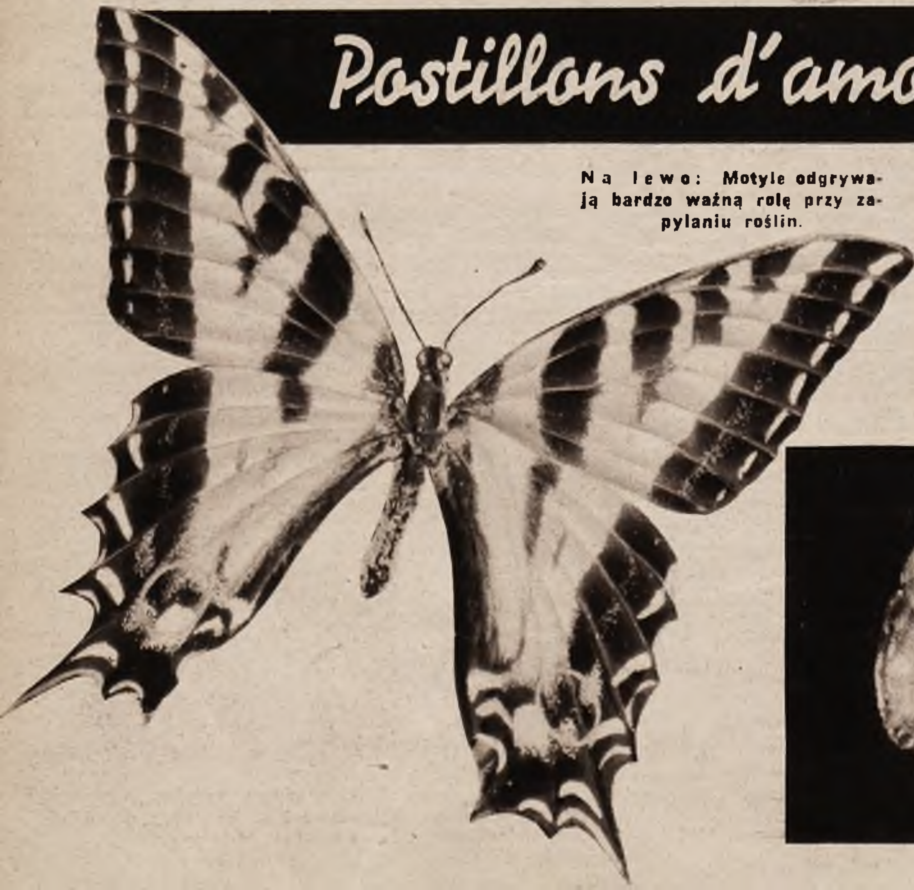
Inne kwiaty zwabiają do siebie skrzydlatych gości ze świata owadów, a więc pszczoły i trzmiele, motyle czy muchy. Nęcą ich żywemi barwami swych koron lub kielichów, kuszą wonią słodkiego nektaru. Oto w piękny słoneczny wiosenny dzień, gdy zakwitają sady, wokoło drzew obsypanych tysiącznem kwieciem uwijają się brzęcząc głośno pszczoły. Przelatują z kwiatu na kwiat, przysiadają na chwilę i zapuszczają swe języczki, by zlizać słodką ciecz. Za chwilę są już gdzieindziej.

Słodkiego trunku nie otrzymały jednak za darmo. Bezwiednie zapłaciły kwiatom za słodki napój, którym się raczyły. W poszukiwaniu nektaru potrącały o pręciki obficie wypełnione pyłkiem, który padał na ich ciało pokryte włoskami. W ten sposób mimowoli przenosiły pyłek na inne kwiaty, dokonując zapylenia.

Pomysłowość niektórych kwiatów idzie jeszcze dalej. U niektórych pręciki stanowią jakgdyby drążki do siadania dla owadów, u innych, jak n. p. u storczyków, tych najpiękniejszych kwiatów, których mnóstwo kryją w sobie tropikalne lasy, jeden z płatków służy jako miejsce siadania dla owadu, którego do wnętrza ostrogi, kryjącej w sobie nektar, prowadzą wskaźniki utworzone z kreseczek lub z kropeczek w odmiennym od tła kolorze, będących niejako drogowskazami. Owad spija słodki nektar, a opuszczając kwiat, unosi na swej główce maczużki utworzone z lepkiego pyłku, przenosząc je na inne kwiaty i dokonując w ten sposób zapylenia.

Pomysłowe urządzenie posiadają kwiaty szałwji, u których pręciki posiadają przysadki, tworzące z niemi dźwignię kątową. Gdy owad wsunie swą głowę w głąb kwiatu, naciska na przysadki, a pylnik uderza wtenczas owada i wysypuje pyłek na jego grzbiet. Gdy owad opuści kwiat, aparat dźwigniowy wraca do swego pierwotnego położenia.

Częstymi przenosicielami pyłku kwiato-



Na lewo: Motyle odgrywają bardzo ważną rolę przy zapylaniu roślin.



Poniżej: Przekrój poprzeczny dojrzałego woreczka pylnikowego sępoty (Cobaea). W komorach widoczne są ziarnka pyłku.

wego są motyle. Odwiedzają one kwiaty o głęboko ukrytych miodnikach, posiadają też specjalne rurkowate trąbki, które mogą zapuszczać w głąb koron kwiatowych. Niektóre z naszych gatunków krajowych posiadają takie trąbki, dochodzące do 8 cm długości, u motyli egzotycznych długość takich trąbek przekracza nieraz 20 centymetrów. Kwiaty o żywych barwach, a zwłaszcza czerwonych, odwiedzane bywają przez motyle dzienne, kwiaty zaś białe czy blado-różowe o silnym zapachu — motyle nocne. Takiemi roślinami rosnącemi u nas, które zapylane są wyłącznie przez ćmy, są biało kwitnące lilje białe i narcyzy. Przez motyle nocne zapylane są także kwiaty, które przez cały dzień mają korony zamknięte, wskutek czego są one niedostępne dla motyli dziennych: dopiero wieczorem kwiaty takie otwierają się a równocześnie zaczyna wydobywać się silna woń, która nęci zdaleka rozmaite zmierzchnice.

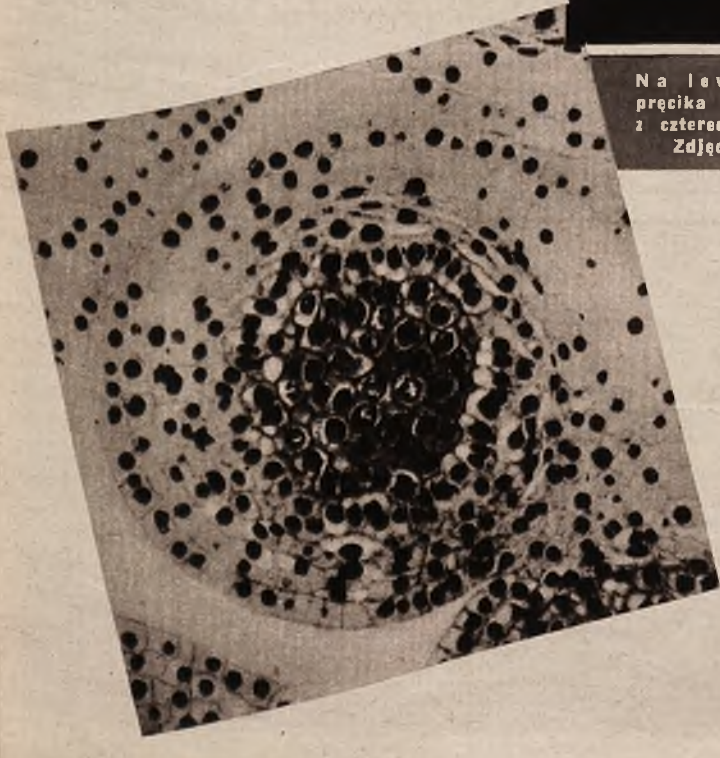
Nietylko jednak wiatr czy owady są przenośnikami pyłku i pośrednikami w zapylaniu kwiatów. Są takie rośliny, których kwiaty zapylają ślimaki, przenosząc ich pyłek na swej nodze, pokrytej śluzem.

Bardzo ciekawem, chociaż naogół mało znanem zjawiskiem, jest zapylanie kwiatów przez ssaki, a mianowicie przez nietoperze. Obserwacje przeprowadzono głównie na nietoperzach jawajskich, które niemałą rolę odgrywają przy zapylaniu niektórych tamtejszych roślin. Nietoperze odwiedzające kwiaty, posiadają język specjalnie dostosowany do pobierania nektaru i pyłku: posiada on długość 5—6 cm, a na jego końcu znajdują się delikatne brodawki lub rogowe wyrostki. Nektar i pyłek zapylanych roślin, wśród których znajdują się niektóre agawy i banany, stanowią pożywienie dla nietoperzy, które przenosząc się z rośliny na roślinę, pośredniczą w ten sposób w miłosnem misterjum.

W krajach podzwrotnikowych pyłek z kwiatu na kwiat przenoszony bywa nieraz i przez ptaki, a mianowicie przez kolibry, nektarniki i niektóre gatunki papug. Szczególnie kolibry, znane zwłaszcza z Meksyku, środkowej Ameryki i północnej części Ameryki południowej, są doskonale przystosowane do współżycia z kwiatami i do czerpania z ich miodników słodyczy. Duże usługi oddają im delikatne dzioby, niekiedy o bardzo znacznej w porównaniu z wielkością ciała długości i rurkowate języki, wreszcie zdolność zatrzymywania się w powietrzu i zawisania przy kwiatach.



Na prawo: Z dojrzałego woreczka pylnikowego ślazu wysypują się liczne ziarenka pyłku...



Na lewo: Przekrój poprzeczny pręcika lilji ukazuje nam jedną z czterech komór pyłkowych. — Zdjęcie silnie powiększone.

U niektórych roślin wodnych zapylenie dokonać się może za pośrednictwem wody, jak np. u pięknej, hodowanej po akwarjach rośliny, zwanej walisnerią lub murzyńcem. Gdy jej kwiaty pręcikowe są już dojrzałe, wypływają na powierzchnię wody i tworząc z płatków jakgdyby łódeczkę, podpływają do kwiatów słupkowych i w ten sposób pyłek z pręcików może przedostać się na znamię słupka.

Tak różnorodnemi drogami dokonuje się w przyrodzie przenoszenie pyłku kwiatowego z kwiatu na kwiat, mające na celu spełnienie najważniejszego zadania rośliny: zachowania gatunku.

Dr Z. M.



W języczkowym kwiecie cykorji widoczne są wydłużone rurkowate pylniki, pozbawione już pyłku.

XVIII SALON FOTOGRAFIKI POLSKIEJ WE LWOWIE

Poniżej od lewej: „Praca mięśni i maszyn" Łucjana Gwoździa, Chorzów II. — „Studium" Henryka Hermanowicza, Krzemieniec. — „Kaziuki" Marjana Krysztofika, Wilno.









„Kwitnący kasztan" Marji Panasiewiczówny, Wilno.

Sala zebrań „Lwowskiego Towarzystwa Fotograficznego". Na stołach i krzesłach, nawet na podłodze, leżą stosy paczek pocztowych, które członkowie Komitetu wystawowego bez wytchnienia rozpakowują, rozkładają na stołach, a po chwili odkładają na inne miejsce. Przez tę chwilę inni członkowie — tym razem członkowie Komisji kwalifikacyjnej — oglądają i oceniają każdy obraz, dając mu potem „noty" jak w katalogu szkolnym.

Tak przez kilka dni odbywa się praca wstępna, sortowanie obrazów na wystawę. A jest tych obrazów s które nadesłało 165 fotografów ze wszystkich miast Polski. Wreszcie Komisja ukończyła pracę i wybrała jako odpowiednie do pokazania widzom na wystaw to piękne — czasem nawet wspaniałe — dzieła 156 a zatem tylko dziewięciu autorów nie odpowiedziało „Komisji", słynącej zresztą w całej Polsce ze surowo

Następnie członkowie Komitetu pakują owe bez sta obrazów przyjętych i wysyłają do sal Muzeum P przy ul. Hetmańskiej, aby tam podjąć nową pracę: ich na ścianach i ekranach.

Na otwarcie wystawy spieszy cały Lwów kultu przyjezdni i amatorzy fotografiki, jest to bowiem żne nietylko dla świata fotograficznego.

Na mieście i na gmachu Muzeum widnieją afisze: roczny Salon Fotografiki polskiej", urządzony prz Towarzystwo Fotograficzne". Przyjdźcie i zobaczcie jest, a nie pożałujecie!

Prof. S

), bo 865,
miasteczek
obrazów,
obrazy te,
grafików,
naganiom
a cztery-
myślowego
wieszania
y, liczni
enie wa-
VIII Do-
wowskie
na nim
towski.
olin.
ów.

Na prawo: „Mglisty poranek" Edwarda Hartwiga

Poniżej: „Wieże Lwowa" inż. dr. W. Romera





„ULPIA SERDICA"

W miejscu, gdzie dzisiaj wznosi się stolica Bułgarji, z domami otoczonemi wieńcem ogrodów — stała przed wiekami rzymska warownia Ulpia Serdica. Warownię tę, razem z potężnym niegdyś cesarstwem rzymskiem, zburzyły hordy barbarzyńców, a następnie ze stepów dzisiejszej Rosji przybył obcy w Europie szczep Bułgarów, którzy skojarzywszy się z Słowianami półwyspu bałkańskiego, stworzyli nowe potężne państwo. Na miejscu warowni Ulpia Serdica, powstało bułgarskie miasto Szedec, które podzieliło los wszystkich innych miast bułgarskich, podbitych i zaanektowanych w 14 wieku przez Turcję.

Panowanie Turków, którzy wstrzymywali gospodarczy i socjalny rozwój narodu bułgarskiego, trwało przez pięć stuleci. Tymczasem odkryto Amerykę, rewolucja francuska stworzyła nowy porządek świata, a żołnierze napoleońscy ugruntowali w całej Europie jej ideologję.

Te zdarzenia i przewroty odbiły się stosunkowo słabem echem w tej części państwa tureckiego, gdzie zamieszkiwała ludność bułgarska, która nigdy nie zapomniała o swoich tradycjach narodowych i żywiołowo przywiązana była do wspomnień wielkiej przeszłości.

Mimo kilku nieudałych powstań, odzyskał naród bułgarski wolność, po wojnie z roku 1877—1878 i jak legendarny ptak Feniks powstało z popiołów nowe, niezawisłe państwo. Terytorja bułgarskie jednak pozostały pod władzą obcych państw a większa część dzisiejszego królestwa bułgarskiego, stosownie do układu berlińskiego pod nazwą Wschodniej Rumelji, była pod władzą suwerenną sułtana, jako kraina autonomiczna, która dopiero w roku 1885 wróciła do kraju ojczystego.

Świeżo powstałe państwo bułgarskie, musiało otrzymać nową stolicę: jako taką obrano starą warownię Ulpia Serdica, późniejszy Szedec, który już od dawna Bułgarzy nazwali Sofją. Głównym powodem tego wyboru było centralne położenie miasta. Była w owym czasie Sofja małą prowincjonalną mieściną z około 30 tysiącami mieszkańców: małe, krzywe uliczki, wieczorami oświetlano lampami naftowemi; niskie jednopiętrowe domki zamieszkiwali pobożni rzemieślnicy lub kupcy. Dzisiaj jeszcze, znajdzie turysta sporo relikwij z Ulpia Serdica w wspaniałem muzeum narodowem. Ale z miasta, z ostatnich dziesiątek lat zeszłego stulecia nic nie pozostało. oprócz starego konaku tureckiego Wali (gubernatora), który jednak ciężko rozpoznać w postaci zmodernizowanego zamku królewskiego.

Stolica Bułgarji liczy dzisiaj ponad 300.000 mieszkańców, a prezentuje się jako wielkomiejskie środowisko, w którem żyje się wygodnie i przyjemnie. Dawne stare i kręte uliczki, to obecnie szerokie, świetnie wyasfaltowane bulwary. Domki o charakterze przedmiejskim ustąpiły miejsca całym blokom wielopiętrowych masywnych budowli. Wiele uroku nadają miastu trawniki i drzewa, okalające każdy niemal dom, tak że wiosną lub w lecie sprawiają wrażenie, jednego wielkiego ogrodu.

Już samo położenie Sofji jest godnem zobaczenia (500 m nad poziomem morza). Na południe od miasta w odległości 7 kilometrów, wznosi się góra Witosza, której szczyt, w wysokości 2286 metrów, t. zw. Czeren Werch (Czarny Wierzch) jest celem niedzielnych wycieczek wielu turystów. Całkiem blisko od strony południowo zachodniej stolicy, znajduje się góra Lulin, nie bardzo stroma, w zimie ulubione miejsce narciarzy. Około 20 kilometrów za miastem zaczyna się łańcuch gór bałkańskich, opiewanych w prawie wszystkich pieśniach ludowych. W lasach tych gór znajdowali dzielni synowie Bułgarji pewne i niedostępne kryjówki, podczas wielu walk powstańczych o wolność narodu.

Bułgarja, to błogosławiony kraj źródeł wód mineralnych. W najbliższem sąsiedztwie stolicy znajduje się ponad tuzin miejsc kąpielowo zdrojowych. W pierwszym rzędzie zasługuje na uwagę Bankia, która oprócz wspaniałych will, posiada słynne z leczniczych właściwości wody, o temperaturze ciała ludzkiego. Odległa jest zaledwie 18 kilometrów od stolicy; trasę przebywa się wygodnemi autobusami lub koleją podmiejską. Równie sławnemi są uzdrowiska mineralne Gornia Bania i Kniajewo, a piękne, w stylu maurytańskim zbudowane łaźnie miejskie Sofji, są zasilane ze źródeł siarczanych.

Stolica Bułgarji, poza temi wyjątkowemi możliwościami leczniczemi, jest przedewszystkiem środowiskiem życia politycznego i zagranicznego repertuaru. Nowoczesny uniwersytet gromadzi całą kształcącą się młodzież, a wspaniały teatr narodowy wystawia najlepsze sztuki własnego zagranicznego repertuaru. Bułgarzy są badzo gościnni, a obcy, który tu zawita, zdoła się w bardzo krótkim czasie zaaklimatyzować.

Piękny ten kraj, zamieszkały przez inteligentną dzielną ludność, która mimo wielkich przeciwieństw i katastrof politycznych gorliwie pracuje nad stworzeniem lepszego jutra, zyskuje serce turysty i każdego, który pozna bliżej Bułgarję.

O-st.



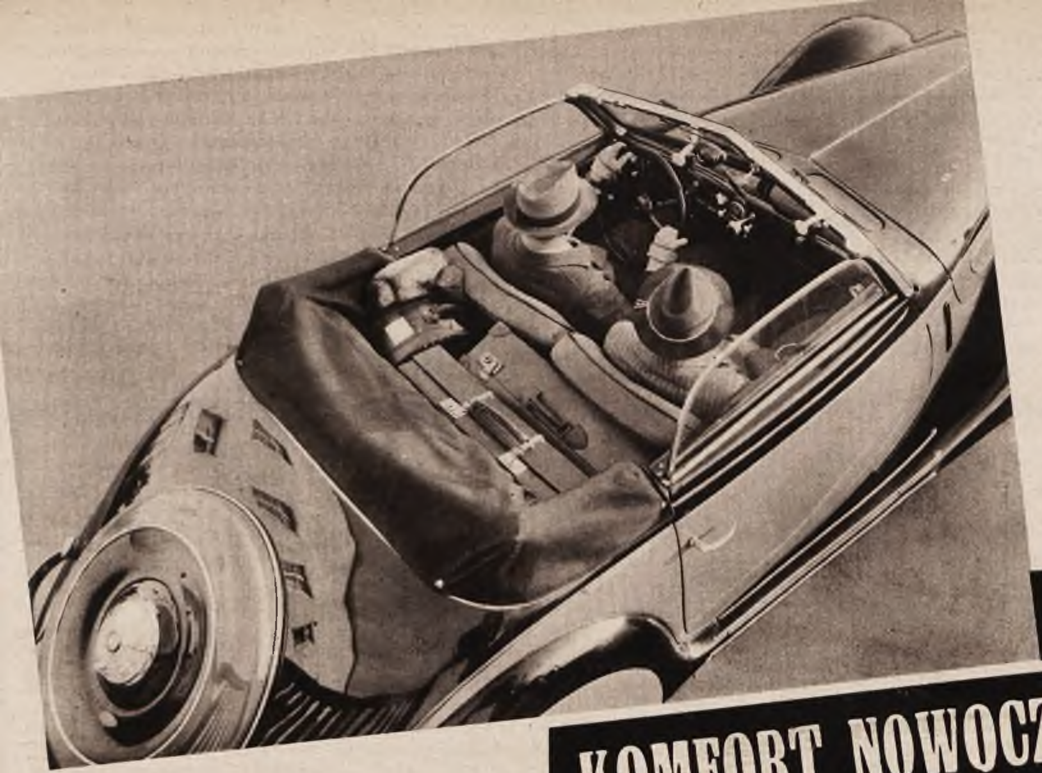
Na prawo: Uniwersytet sofijski jest pięknym nowoczesnym gmachem, wyposażonym w najnowsze aparaty i urządzenia naukowe.

Poniżej: Teatr Narodowy w Sofji.



Poniżej: Jedna z najciekawszych cerkwi w Sofji pod wezwaniem św. Aleksandra Newskiego.





Na lewo: Na zapasowem siedzeniu samochodu sportowego możemy umieścić walizki, które nie weszły do bagażnika.

KOMFORT NOWOCZESNEJ KAROSERJI

Kiedy przed kilku laty pojawiły się pierwsze seryjne wozy o linjach aerodynamicznych, o karoserji oprofilowanej w ten sposób, aby zmniejszyć do minimum opór powietrza — nabywcy tych wozów zaczęli narzekać na niezbyt wygodne rozwiązanie wnętrz. Wsiadając, pasażer musiał zginać się jak scyzoryk; nawet zwykłe „Borsaliny", czy „Hückle" narażone były na zgniecenie o sufit limuzyny; a kierowca musiał mieć szyję znakomicie... wygimnastykowaną, aby móc wyjrzeć ze swego przyziemnego „pudła", celem skontrolowania sygnałów ulicznych.

O ile dawniej mniemano, iż dla zmniejszenia oporu powietrza trzeba obniżać przód samochodu, — przez wydatne spłaszczenie maski — z czasem producenci doszli do wniosku, iż największą oszczędność w zużyciu paliwa daje usuwanie wirów powietrznych, tworzących się tuż za wozem. Stąd powstała koncepcja spłaszczania tyłów samochodów.

Jak ważne dla należytego trzymania się drogi jest rozwiązanie tej sprawy — o tem świadczy fakt, iż najnowsze wozy rekordowe, jak np. samochód rekordzisty Eystona, mają nawet specjalne stery, przypominające stery samolotowe. Służą one do utrzymania rozpędzonego wozu na trasie, ułatwiają kierowcy trzymanie się wytkniętego kierunku.

Oczywiście dla celów turystyki czy sportu szosowego takie stery są zbyteczne. Wogóle trzeba tutaj pamiętać o wygodzie jazdy!

Po okresie pionierskich prób na polu aerodynamiki — zaczęto obecnie harmonizować potrzebę zmniejszenia oporu powietrza (co daje większą oszczędność w zużyciu paliwa) z potrzebami komfortu i wygody.

Najnowsze modele przynoszą szczęśliwe nieraz rozplanowanie „wnętrz". Wprawdzie najistotniejszem „wnętrzem" samochodu jest to, co mieści się pod maską, czyli motor, ale przecież nie obojętną rzeczą dla automobilisty jest także sprawa zawieszenia wozu, resorowania, a w końcu — widzialności i wygody w prowadzeniu.

Na tem polu poczyniono znaczne, milowe postępy. Dawniej jedynie w luksusowych limuzynach czy kabrioletach znajdowaliśmy wygodnie rozmieszczone „szykany", jak to określa gwara automobilistów, w rodzaju zapalniczek automatycznych, obszernego pomieszczenia dla kufrów, szybko zamykających się bud, pięknie zaopatrzonej tablicy rozdzielczej z świecącym szybkościomierzem itp.

Dzisiaj to wszystko przestało być luksusem, należy do normalnego wyposażenia wozu. Rzecz prosta — w wozach droższych mamy więcej udoskonaleń, więcej pomysłów, ułatwiających i uprzyjemniających jazdę.

Podczas gdy ongiś sport samochodowy wymagał silnej ręki i narażał niejednokrotnie kierowcę na konieczność grzebania w zaoliwionych, brudnych wnętrznościach wozu — obecnie można „dosiadać" stukonnego wozu w ubraniu... wieczorowem.

Istotnie, wnętrze eleganckiej limuzyny zaopatrzonej w fotele klubowe, czyż nie daje „gabinetowego" komfortu?!



W deskę rozdzielczą wbudowuje się schowki na podręczne rekwizyty kierowcy.



Podczas długich podróży nieocenione usługi oddaje pasażerom urządzenie, które przez odpowiednie ułożenie przedniego siedzenia tworzy z niego względnie wygodne łóżko.



Nowoczesne roadstery mają budy chowane za siedzeniem kierowcy.



Na lewo: W otwartym samochodzie stosuje się zamykane popielniczki, aby prąd powietrza podczas jazdy nie wywiewał z nich popiołu.

Jeśli wspomnimy tu jeszcze o uproszczonej zmianie biegów zapomocą wygodnie umieszczonego lewarka, pysznie amortyzowanej kierownicy, nie odbijającej wstrząsów — dojdziemy do wniosku, iż samochód staje się instrumentem dostępnym dla wszystkich, nawet dla osób pozbawionych zaprawy sportowej.

Nic dziwnego, że z dniem każdym widzimy coraz więcej pań przy kierownicy. Nowoczesny samochód jest miękki w prowadzeniu — czuły na najmniejszy gest kierowcy.

Jakże daleko zostały za nami „przedhistoryczne" czasy automobilizmu, gdy podróżujący samochodem przywdziewał „kombinezon", okulary, kask z klapami na uszy! Gdy największe uznanie budził ten pasażer, który najsprawniej umiał łatać dętki...

Przy obliczaniu szybkości jazdy trzeba było sporo czasu odliczać na montowanie opon, które łapały gwoździe z jakąś wyrafinowaną złośliwością. A ponadto mocno napompowane opony nagrzewały się bardzo prędko. Nierzadki był widok, zwłaszcza w górskich okolicach, że automobilista wyruszał do wsi po wodę, aby skropić rozpalone koła...

To wszystko należy do przeszłości. Piękne panie, zasiadające dzisiaj w obitych skórą fotelach przy kierownicy — mogą poświęcić się trosce o... sharmonizowanie koloru sukni z obiciem wnętrza i karoserją, albo o odpowiednie schowki dla bagażu (neseser, pudełko na kapelusze i tp.).

— Przesada? — Być może. Ale faktem jest, że najnowsze modele samochodów zdradzają nietylko postęp w dziedzinie zdobyczy czysto technicznych, lecz także w ułatwianiu i uprzyjemnianiu kierowcom i pasażerom tego popularnego środka lokomocji.

Jarosław Janowski.

Serenada

FELIKS DANGEL

WSPOMNIENIE MYŚLIWSKIE

Zmrok nas otulał.

Gdzieś tam pono, poza naszem jestestwem, wtulonem w słomę rozkołysanego na wiosennych wybojach wozu, byli i inni ludzie i para koni i wieś i droga i las, ale konie wyczuwało się tylko po dymieniu ostrego zapachu skóry, a ludzi po głosach i ognikach papierosów.

Jechaliśmy w las.

Na podkrady — na pogański fest wiosennego tokowiska.

Nie kleiła się rozmowa. choć hr. Olutek, opowiadał ciekawie i wesoło, a zapalony papieros wydawał się gorzkim i nieznośnym i raczej zachęcał do snu, niż go płoszył.

— Więc — nie dokończyłem wam wczoraj tej anegdoty. Mówię wam — wychodzę z chaty o świcie, a tu prezes i Zosia — córka gajowego... Wpierw nie zorjentowałem się, bo byłem zaspany, ale później. Co widzę? Jezus, Jezus, prezes ją trzyma — mówię wam, a ona nic, tylko się śmieje. Więc, powiadam: „Prezesie, opowiem wszystko pańskiej żonie", a on na to:

— Kłaniaj się pan ode mnie — i dalej całuje.

Ale causeur wspaniały. mając na wpół uśpione audytorjum, przerwał po chwili i sam wsłuchał się w tę ciszę przedziwną, która kloszem nieprzeniknionym pokrywała kolebiący się wóz.

— Czy aby Butowicz zasadził?

— Podobno jest kilka starych krechtunow, a i młodzież już się odezwała.

— Para im... jani usiegda na Kaladu zaczynajuć... wtrącił Andrzej gajowy.

Ludzi ogarnął chłód wilgocią nasycony.

Furka wjechała w las.

* * *

Inne, o jakże inne jest nokturno wspaniałe podkradów do głuszca, od pieśni bachicznej cietrzewia. Gdy tam, na suchych wrzosowiskach, z pierwszym rumieńcem świtu, zabulgota pieśnią fauniczną cietrzew kochanek, gody się jakieś święcą starogreckie. To nie brzozy tak ropuściły swe gałęzie, ale leśne najady, wsłuchane w peanową pieśń, rozczesały włosy, a rumieńcem świtu i wstydu nastawiają swe białe, dziewczęce ciało.

A ptak gra rozkochany, barwisty, wspaniały, w miłosnym kontredansie pusząc swe pióra. Kaszle z ekstazą, gdy gardło nabrzęknie bulgotem zaklęć najświętszych. A z nieba, które dotąd zdobił brokat nocy spogląda nań gwiazda poranna, dopóki ciekawego jej oka nie zgasi pozytywista dzień.

Tu w knieji jest inaczej.

Nie oddzieliły się w mroku jeszcze zupełnym mchy szare poduchowate od kolumnady drzew, a niebo acz zbladło już w kobalcie nocy, jak namiot czarnoksiężnika pokrywa jeszcze las. Śpią ptaki swarliwe i szary lub czworonożny snem pełnym strasznych widziadeł walki o byt, śpią drzewa, bezruche upiory czubami swemi wypatrujące świtu.

A on zaczyna.

Nie bezwstydną pieśnią kochania, która słońca się nie boi, ale głosem zakonspirowanego szyfru, pełnego szarych dźwięków aparatu Morse'go.

Tyk... tyk tyk... tyk...

Sypią się kaskadą głuszcowe zaklęcia ujęte w suche umowne znaki, by zamknąć się gwałtownie szyfrem „stop" klaśnięciem głośnem dzioba.

Ale głos już padł w las uśpiony.

Choć tajemniczy — lecz głośny i zbudził ostrzeżenie.

I wtedy ptak dla stłumienia go szept cichy wydaje:

I słucha, co mu na to odpowie las i rdzawa kochanka.

— Zapadł się świat człowieczy.

— To nieprawda, że istnieją miasta lśniące wężowiskiem neonów, niema prawd uznanych i narzuconych samemu sobie przez człowieka. Tu na mchach wielkich, z których spłynęły niedawno lodowce, młodym światem włada jeszcze Dyluwium. A prawa, nakazy i przywileje dyktuje puszcza.

* * *

Romantyzm głuszcowy w toku jest niczem innem, jak autosugestją, którą sobie narzucił sam człowiek. Przedwiośnie, noc, trudy wyprawy, stanowią dekorację, która stwarza efekt. Nic ponadto.

— Nie zgodziłbym się z panem...

— I właśnie mnie to dziwi. Pan jako przyrodnik wie również dobrze jak ja, lekarz, że sama pieśń głuszcowa, jak jej rzekome czary. są niczem innem, jak takim, a nie innym przejawem biologicznym w życiu ptaka tetrac urogellus. W pewnym okresie na skutek określonych bodźców zewnętrznych, pokarmowych, a wreszcie i klimatycznych, ptak zaczyna reagować. Zmienia tryb życia, okolicę leśną, a organizm jego podświadomie i instynktowo każe mu „grać".

— Słusznie, ale pozwoli doktór na małe porównane. Wiemy dobrze, że orkiestralnie rozpisana sonata księżycowa, jedno z najwspanialszych dzieł muzycznych, rozpada się technicznie na człony orkiestrowe. Fagot i klarnet, flet i waltornię, skrzypce, wiolonczelę i fortepjan. Technika dętych instrumentów nakazuje dmuchanie w nie, kunszt fortepianowy, to technicznie uderzanie po płytkach z kości słoniowej, które zkolei poruszają małe młoteczki strunowe. Każdy z instrumentów ma ściśle nakreślony efekt pojedyńczy, co jednak w całości stanowi sonatę.

— Porównanie tylko pozornie dobre, drogi panie. Gdy w pańskim przykładzie efektem mechaniki instrumentu jest sonata czy serenada, to tu, na tokowisku mamy tylko klask suchy i ciche, a bynajmniej nieefektowne syczenie, gdy ptak głuchnie.

— Wina jednak nie leży w pieśni głuszcowej. Gdyby Piętaszkowi zagrano Szubertowską serenadę — odniósłby wrażenie hałasu muzycznego — człowiek, któremu las nic nie mówi, analizuje tak jak doktór pieśń głuszca. Dla historyka rzeźba Pompadour w Wersalu będzie tylko portretem wielkiej amouresy w dezabilu, dla artysty będzie skończonem arcydziełem Canowy.

Do Kurenia szedł gajowy Juszkiewicz.

— Pana nam, pany. Jeni dnia bajut'sia. W nocy ich sama zabawa.

* * *

Z ciężkim łopotem skrzydeł opadł na ziemię.

Spłoszył go świt, który osrebrzył już czuby sosen, więc tu w mroku cienia leśnego, gdzie refleks dnia nie dochodził jeszcze, zaśpiewał swój opust ostatni.

Wielka plama cienia, masyw dużego ptaka o skrzydłach opuszczonych kroczył po mchu z ekstatycznie podniesioną głową.

A gdy padł strzał — pierś swą granatową, dekorowaną kolorami krwi wysiłkiem ostatnim, na znak protestu, ku niebu puszczańskiemu odwrócił.

* * *

Był dzień.

Wschodził leniwie, mokremi płatami mgieł czerwone ślepie słońca przecierając.

Gdzieś tam za lasem bełkotały cietrzewie.

Wóz toczył się wolno, bez pośpiechu. mniej już ostrożnie i tajemniczo przez rozwidniony świat.

— I mówię ja prezesowej: uważaj dobrodziejka na męża, bo jeszcze z polowania kiedy rozamorowany powróci. A wiecie co ona na to:

„Panie... Jemu to już od lat nie w głowie".

Doktór poprawił się na siedzeniu, zapalił papierosa i mówił:

— Jak to pan powiedział o tej rzeźbie Pompadour?

A prawda... no tak. czy ja zresztą wiem? Noc była piękną... I ta jego serenada.

PRZELOT NAD „BOULDER DAM"

Fot. Press Syndicate — Hollywood.


TWA
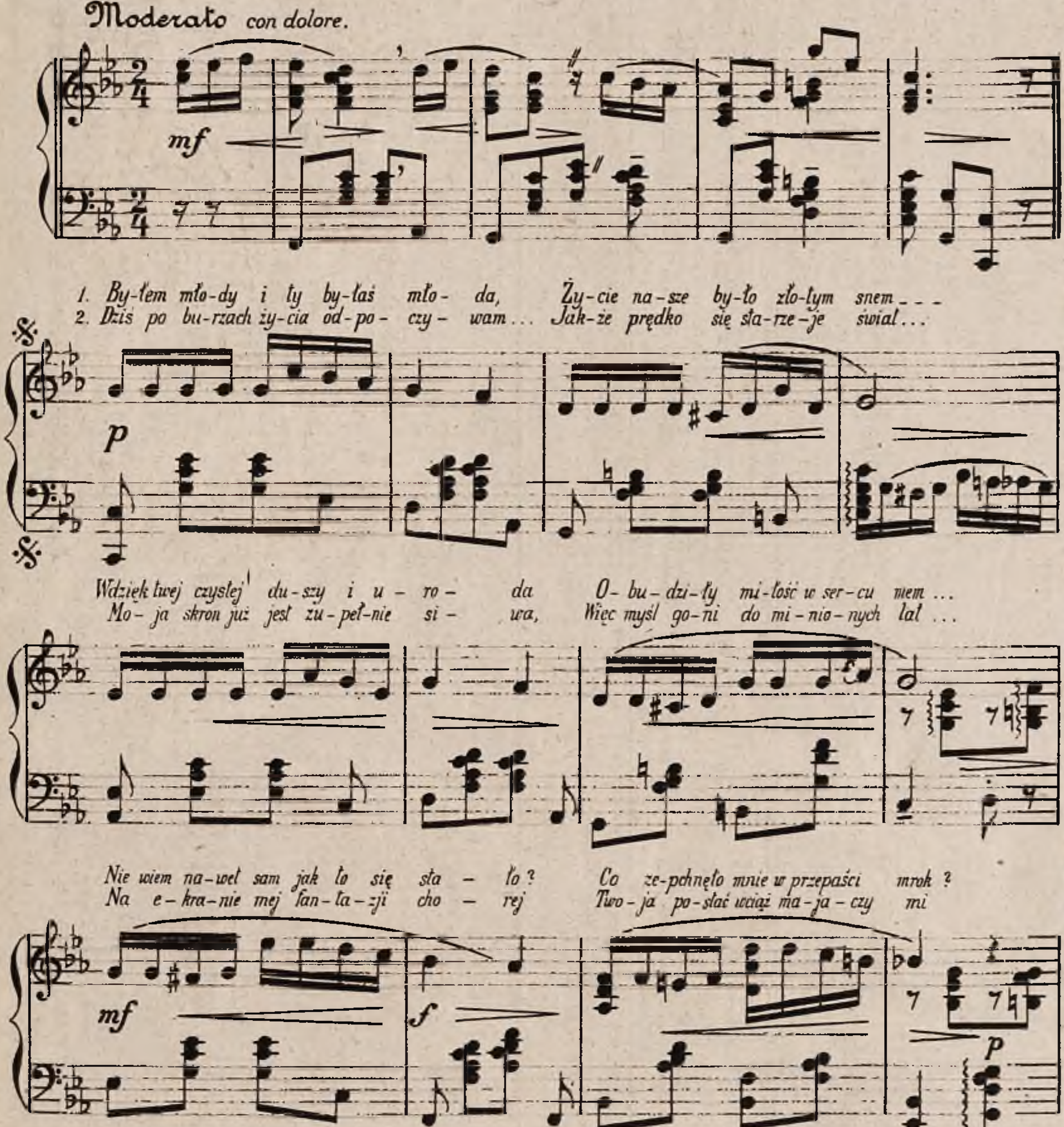
PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

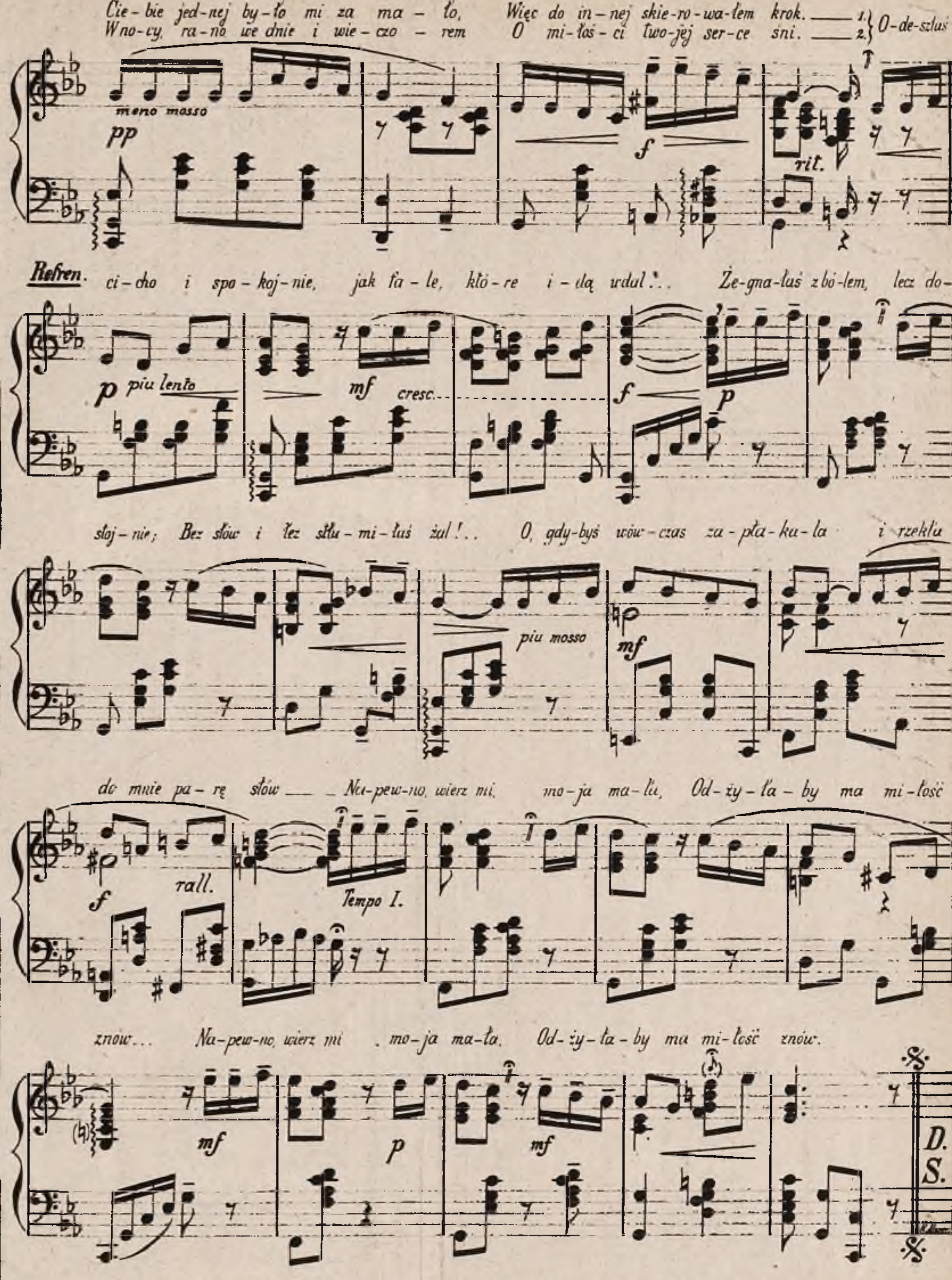
Odeszłaś cicho...

TANGO

Słowa:
J. Czuma i K. Lubieniecki

Muzyka:
Aleksander Piotrowski





ZOFJA LUBICZ-ZALESKA

RATUNEK

NOWELA

Świderski wyszedł z biura i skierował się w stronę tokarni walców. Powiedziano mu, że tam znajdzie Bentkowskiego. Chodnik prowadził między budynkiem, w którym znajdowały się kancelarje, a torem kolejowym. Świderski wtulił głęboko ręce w kieszenie, zgarbił się, głowę opuścił ku ziemi. Z każdą chwilą był bardziej przygnębiony.

Chyba rzuci tę przeklętą Hutę i pójdzie gdzieindziej szukać szczęścia. Od czterech lat znosi te straszne stosunki. Czuje, że jest u kresu sił i wytrzymałości. Ustawiczna walka z niekarnym, zuchwałym robotnikiem, niezrozumienie ze strony dyrekcji, a brak jakiegokolwiek oparcia wyczerpały go do ostatka. Czuł się sam ze swoją dobrą wolą, nadzieją i miłością pracy. Przeciw niemu była cała ta olbrzymia Huta.

Zamyślony potknął się w ciemnościach na kawałku jakiegoś drutu, który go dotkliwie uderzył w nogę. Ból wyrwał go z rozmyślań. Rozglądnął się wkoło.

Zaledwie kilka metrów dzieliło go od tokarni. Przyśpieszył kroku, pchnął ciężkie okute drzwi. Wieczorem praca nie była zbyt intensywna.

Świderski obojętnie rzucił okiem na toczony walec, machinalnie podniósł zwiniętą w tutkę cieńką wiórkę, rozejrzał się wkoło i nie widząc nigdzie Bentkowskiego, zawrócił.

Noc była jasna, księżyc na nowiu znaczył się lekkim, złotym łukiem wśród drgających gwiazd. Po deszczu zrobiło się ciepło. Świderski pomyślał, że cały urok świata jest coraz bardziej i coraz dalej poza nim. Że już przestał od dawna reagować na piękno natury, że wiosna dla niego już nigdy nie przyjdzie. Westchnął. Niepokój ogarniał go coraz większy.

Szedł wśród poskładanych na stosy kawałków żelaza, mijał tory kolejki, przechodził obok kranów i pod kranami, które, ustawicznie w ruchu, huczały, warczały i gwizdały w noc, w ciemności i przestrzeni.

Chodnik zostawił gdzieś z boku i szedł naprzełaj do walcowni. Tutaj ruch był większy. W blasku ognia czerniły się sylwetki pracujących ludzi.

— Serwus Świder — zawołał mu wprost do ucha młody, niefrasobliwy głos i mocna ręka z całej siły uderzyła go w plecy.

— Dobry wieczór, Werek! Niema tu u was dyrektora?

— Był przed chwilą. Chodźmy zobaczyć, może jeszcze gada ze starym. Ale co ty taki do niczego? Znów masz zgryza?

— Et! — Świderski niechętnie machnął ręką. Weszli do walcowni. Żelazna podłoga uginała się pod nogami, Świderski zawsze odczuwał pod nią próżnię, myślał o tem, że powinien uważać, żeby się gdzieś nie potknąć i równocześnie nie mógł oczu oderwać od fascynującego widoku, jaki się przed nim roztaczał. Robotnicy długiemi szczypcami ujmowali rozżarzone listy żelaza, zręcznie wkładali w walce, które za chwilę wyrzucały je z hukiem przed siebie pod nogi pracującym, którzy automatycznie powtarzali znów to samo. I już rozpłaszczona, wydłużona blacha sunie po wałkach żelaznej podłogi na drugą stronę. Inny robotnik wsuwa ją między walce, ażeby ją oddać dalej za chwilę. Za nią suną inne; praca trwa wród monotonnego huku wyrzucanych blach.

Werek towarzyszył Świderskiemu, przyglądając się pracy i z zapałem młodego inżyniera, którego ruch wyraźnie podniecał, rzucał od czasu do czasu jakieś uwagi robotnikom.

Bentkowskiego nie było.

Przechodzili obok walcowni drutu. Ogniste węże pełzały z szaloną szybkością po ziemi. W pewnej chwili robotnicy łapali je szczypcami, unosili do góry, wkładali w walce, wyrywali je znów, z rozmachem okręcali nad głową, ażeby skierować w coraz to inne kalibry. Aż wkońcu, jeszcze wciąż rozżarzone, zwijano jak gruby sznur w krągłe motki.

— Gdzie może być Bentkowski?

— Masz jakąś pilną sprawę?

— Ach tak! Chcę go widzieć koniecznie. Miałem znów przed chwilą awanturę z Bulandą. Obija się, a na moje uwagi odpowiada tak zuchwale, tak ordynarnie, że jeżeli go nie usunę, zdemoralizuje mi wszystkich ludzi na oddziele. Jest ich delegatem, muszę z dyrektorem pomówić zanim go zwolnię. — Świderski zamilkł i po chwili zaczął mówić dalej: — Oni mnie tam zresztą wszyscy nienawidzą. Pilnuję ich i to im niewygodne. Wiem, co oni wszyscy warci i to się im niepodoba. Przez te cztery lata dostałem jedenaście anonimów z najgorszemi wyzwiskami i pogróżkami. Widzą, że mnie nie nastraszą i zieją jeszcze większą nienawiścią. Stosują wszystkie metody nawet sabotaż Jestem bezradny. Będę chyba zmuszony ustąpić, bo już nie mogę dłużej... A dyrekcja miękka, zamiast zastosować najostrzejsze środki, przez palce patrzy na tę przeklętą bandę i mnie robi za wszystko odpowiedzialnym.

Muszę teraz powiedzieć Bentkowskiemu, żeby sam zrobił z tem wszystkiem porządek, w przeciwnym razie odchodzę z Huty.

W tej chwili pomyślał, jak bardzo zmartwiłaby się jego żona, gdyby się to stało. Przyzwyczaiła się do stosunków w Starym Olechnie, znalazła przyjaciół, czuje się dobrze w ich pięknem mieszkaniu i tak bardzo lubi duży prześliczny ogród, z którego w ciągu tych czterech lat zrobiła istne cacko.

Wkrótce zakwitną bzy, narcyzy, irysy, tulipany i hiecynty na wyciętych w esy, floresy grzędach. I róże... róże... Świderski zapomniał o wszystkiem: Agnieszka idzie wąską, jasną ścieżką. Niesie pączki herbacianych róż. Uśmiecha się do niego. — — W ogrodzie pachną odurzająco kwiaty — Słońce zachodzi...

Werek szarpnął go gwałtownie za ramię. Obok przejechał kran.

— Co u licha sobie myślisz! Trzeba uważać! Idziesz jakbyś nie znał Huty! — Gderał wzburzony, patrząc bokiem na zmienioną, szarą twarz Świderskiego. Powinien był już wrócić do walcowni, ale nie miał serca zostawić go wśród nocy, wśród Huty, w takim stanie ducha. Szedł więc z nim, trzymając go teraz pod rękę.

Znaleźli się w smudze światła, padającej ze stalowni. Świderski i tym razem nie mógł się oprzeć wrażeniu, że to piekło, najprawdziwsze piekło, właśnie takie, jakie je sobie wyobrażało średniowiecze. To tutaj Agnieszka, zwiedzając po raz pierwszy hutę, swoim dziwnym, sugestywnym głosem wyszeptała:

„Per me si va nella citta dolente
„per me si va nel' eterno dolore
„per me si va tra la perduta gente. *)

Piekielne gorąco parzyło twarz, oczy oślepiał blask do białości rozpalonej stali, dym gęsty wżerał się w płuca, dusząc i dławiąc. Ruch był wściekły. Cztery marteny równocześnie miały spust. Krany jechały tam i zpowrotem, wykonując obroty i półobroty wbok, wtył. Łyżki przechylały się i cofały. Ludzie usiłowali przekrzyczeć hałas i łoskot. Dyrektora Bentowskiego nie było i tutaj. Świderski się zniecierpliwił:

— Muszę wracać. Już go dzisiaj nie znajdę. Niech to djabli wezmą.

— Napewno siedzi w warsztatach. Mają tam jakiś szmelc. Będzie ich ten gips kosztować kilkadziesiąt tysięcy. Źli tam wszyscy, jak jasny gwint!

— Muszę wracać — powtórzył Świderski. — Nie pójdę już dalej. Mam dziś paskudną robotę.

— Odprowadzę Cię kawałek.

Do Wielkich Pieców było niedaleko. Rozmowa się nie kleiła, więc szli w milczeniu. Przy wadze Werek pożegnał Świderskiego. Chciał mu dodać otuchy, natchnąć dobrą myślą, ale nie umiał znaleźć odpowiednich słów. Popatrzył więc tylko na niego swemi dobremi, dziecinnemi oczami i powiedział:

— Szczęść Boże!

Świderski wszedł do budki, stanął za plecami Korytka. Patrzył się w okno. Podjechał wózek napełniony dolomitem. Korytko zaczął ważyć. Waga nie znalazła jeszcze swego optimum równowagi, gdy robotnik dał znak ręką ,że skończone. Inżynier rzucił się:

— Do stu pieronów z taką wagą! Jak piec pójdzie do djabła, to przez Wasze niedbalstwo, Korytko!

Robotnik zagryzł wargi, błysnął oczami zpodełba i zmilczał.

Świderskiego poniosło na Wielki Piec. Wszedł na halę spustową wąskiemi, żelaznemi schodami, które przypominały drabinę. Baryłko, Żądło, Stępień i wszyscy inni spokojnie chodzili wkoło, spełniając swoje funkcje. Świderskiemu przez chwilę błysnęła myśl, że na jego oddziele jest jakoś ciszej, niż w całej hucie. Lubił Wielkie piece, to była jego namiętność. Lubił czystą, dobrą,

Dokończenie na str. 31-ej.

*) Przeze mnie droga w miasto utrapienia,
Przeze mnie droga w wiekuiste męki,
Przeze mnie droga w naród zatracenia.
(Tl. Porębowicz).

Taniec i piosenka JÓZEFINY BAKER



Jakieś dziwne uczucie ogarnia nas na widok osoby, o której tylko słyszeliśmy wiele, nigdy przedtem nie oglądając jej „na własne oczy", chyba jedynie na fotografjach, jeśli był to ktoś sławny, zasługujący na to, aby o nim pisano. Szereg szczegółów, odnoszących się do tej osoby, pozostaje w naszej pamięci, tworząc z biegiem czasu wyimaginowany obraz. — I gdy nadejdzie chwila porównania tego obrazu z rzeczywistością, stajemy najczęściej bezradni jak dzieci wobec problemu, jak przemóc np. rozczarowanie, lub jak dorównać kroku rzeczywistości, jeśli „przeszła najśmielsze nasze oczekiwania". Ta druga sytuacja jest równie kłopotliwa jak pierwsza, tylko, że stanowi dla nas o wiele przyjemniejsze przeżycie, powodując powstawanie nowych wrażeń, którym z ochotą się poddajemy — wrażeń tem silniejszych, im wartościowszem okazuje się zjawisko, na które może w podświadomości czekaliśmy od dawna.

Takiem zjawiskiem stała się dla wielu słynna czarna vedetta, Józefina Baker, która poprzedzona wieloletnią sławą, zdobytą na scenach paryskich music-hall'ów, odbyła ostatnio tournee po Polsce na czele własnego zespołu i własnej orkiestry jazzowej. Niema chyba na świecie cywilizowanego człowieka, któryby nie czytał o tej egzotycznej gwieździe. Pisano o niej różnie. Początkowo, po pierwszych jej występach w metropolji świata, a było to dawno, bo chyba już z kilkanaście lat temu, entuzjastyczne sprawozdania głosiły niezwykłą oryginalność produkcyj tanecznych Józefiny Baker, wdzięk jej egzotycznej urody i ów temperament, specyficzny dla rasy murzyńskiej i jej odmian (mulaci), którym bez reszty podbiła zblazowaną paryską publiczność, a potem mieszkańców wielu innych miast europejskich. Triumfy pięknej Józefiny, jeśli tak nazwać można ten typ urody kobiecej, nie trwały jednak długo. Nadszedł okres przesytu jej produkcjami i ludzie, którzy wiecznie pragną rzeczy nowych, przestali się nią dosłownie interesować. Sława Józefiny Baker, niby meteor, świecący krótko wspaniałym blaskiem, zbladła, zgasła i utonęła w morzu nowych zjawisk, jakie w ciągu następnych lat wyczarowywano przed oczami tłumów, wypełniających po brzegi słynne „Folies Bergeres", „Moulin Rouge", czy „Casino de Paris".

Ale myliłby się ten, ktoby przypuszczał, że Baker zrezygnowała wówczas z dalszej karjery scenicznej. W zaciszu domowem, pod okiem swego managera, rozpoczęła dopiero wtedy gruntowne studja śpiewacze, a nawet — wygląda to na paradoks — taneczne. Zrozumiała bowiem, że sztuka jej, jeśli była nawet przez świat podziwiana, miała tak krótki żywot dlatego, ponieważ nie oparła się na rzetelnych wartościach artystycznych i jako taka stanowiła surową formę, której dopiero trzeba było nadać przez odpowiedni szlif szlachetne kształty. Praca czarnej vedetty nie poszła na marne. Po latach studjów wystąpiła ponownie i znowu odniosła sukces godny jej nazwiska. Stała się artystką, której kunszt w interpretowaniu słynnych przebojów nie wiele posiada równych przykładów w historji teatrów rewjowych. Mogliśmy się o tem przekonać podczas ostatnich występów Józefiny Baker w Polsce. Śpiewała przesubtelnie, tańczyła z umiarem, obnosiła po scenie, jak przystało na wielką vedettę wspaniałe tualety, występując na czele zespołu dobrych tancerzy i tancerek. Ale dopiero, gdy znalazła się sam na sam ze swymi „Baker boys', gdy ruchem bioder nadała tempo ich wspaniałym produkcjom jazzowym, gdy potem na odmianę porwana rytmem ich muzyki wtopiła w nią swą pieśń, uplastyczniając ją tańcem — wówczas dopiero w niejednej nucie śpiewu, w niejednym ruchu gibkiej postaci odezwało się jak echo z dalekiej jej ojczyzny to coś, co w oczach białych ludzi uczyniło z młodej mulatki wielką Józefinę Baker.

Juliusz Leo



„Chłopak z murzyńskiej wioski" — jedna z pierwszych kreacyj „czekoladowej gwiazdy".



Na lewo: Józefina Baker w obrazie „Taniec arabski", wchodzącym w skład programu rewji, z którą objeżdża ona obecnie Polskę.



Na prawo: Słynna vedetta na dachu Pałacu Prasy w czasie wizyty, jaką złożyła „IKC.".

„REINE DES TROPIQUES"


à Magazin
Un Souvenir
de
Josephine Baker

CHCESZ BYĆ PIĘKNĄ?

IV.

DELIKATNOŚĆ CERY.



Masaż twarzy przy pomocy uderzania dłońmi od dołu ku górze.





Delikatny masaż końcami palców na zakończenie wieczornych zabiegów.

Dla poetów i zakochanych zakwitają różami buzie pięknych pań. I niema w tem zbyt iwelkiej przesady ani też przenośni, bo zdrowy rumieniec na policzkach ma w sobie istotnie delikatność różanego pączka w rozkwicie. — Niekoniecznie rumieniec taki jest przywilejem najwcześniejszych lat młodocianych. Kultura nowoczesnej kosmetyki pozwala przedłużyć jego trwanie na bardzo długie lata, jeżeli w parze z nią idzie ogólne zdrowie fizyczne, uprawianie sportów i należyty wypoczynek po pracy.

„Etre belle — rester belle" — powiada Paryżanka, wyrażając tem niezłomną wolę kultywowania swej piękności. Paryżanka chce być zawsze piękna i młoda i umie swe życie do tej zasady dostosować. Czyni to na dwóch drogach. Z jednej strony całą siłą woli opanowuje swój wyraz twarzy, aby wycisnąć na niej błogosławione piękno optymizmu, pogodnego uśmiechu i ciągłego ożywienia, z drugiej zaś strony stosuje wskazania kosmetyczne, przy pomocy których konserwuje, a nawet poprawia naturalne wdzięki.

Jak to zrobić? — zapyta niejedna z pań. Indagowana w ten sposób znana artystka, Cecil Sorel, odpowiedziała kiedyś: „Mon secret — je veux rester jeune, et j'y emploie toute mon énergie.." (Moja tajemnica — to to, że chcę pozostać młodą i wysilam w tym kierunku całą moją energję).

Warto sobie postanowić to samo i wziąwszy lusterko do pomocy studjować rysy twarzy, czy przypadkiem niema już na nich śladów zniechęcenia, zmęczenia i smutku — tych pierwszych zwiastunów niepożądanych zmian oblicza. One wywołują zmarszczki i wiotczenie skóry, jakże postarzające twarz kobiety. Koniecznym będzie w takim razie natychmiastowy ratunek, aby policzki zakwitły znowu różami.

Raz lub dwa razy na tydzień trzeba w takim razie zastosować maskę z białek lub żółtek, która zresztą i dla dobrze utrzymanej cery będzie doskonałym środkiem kosmetycznym, zabezpieczającym przed możliwemi niebezpieczeństwami. Stosuje się maskę w następujący sposób: po dokładnem oczyszczeniu skóry na twarzy przy wieczornem demakilażu, osuszyć twarz i nałożyć masą, ubitą z żółtka i pół łyżeczki (od herbaty) olejku migdałowego oraz kilku kropli cytryny. Po nałożeniu tej maseczki zaczekać, aż ona zupełnie wyschnie, przez co pory skóry doskonale się ściągają i usunąć ją przy pomocy letniego mleka, poczem zmywa się twarz dokładnie miękką wodą (najlepiej deszczówką) lub wodą różaną. Maskę z olejkiem migdałowym używamy dla skóry suchej, gdy dla tłustej zastępuje się olejek pół łyżeczką (od herbaty) dobrego koniaku.

Inny rodzaj maski stanowi piana ubita z białek. Działa ona jeszcze bardziej ściągająco i jest bardzo skuteczna przeciwko zmarszczkom. Przed jej użyciem oczyszcza się twarz jak najstaranniej, poczem nakłada się pianą, dobrze ubitą z białka, posypując maseczkę mączką grochową. Po upływie dwudziestu minut zmywa się maskę przy pomocy letniego mleka.

Poniżej: Do zmywania twarzy wieczorem doskonały jest płyn, powstały z rozpuszczenia łyżeczki wzmacniającego lotion w zimnej wodzie.



Używając raz na tydzień czy raz na dwa tygodnie maski z żółtek czy z białek, nie zapominajmy jednak o codziennych zabiegach, mających za cel utrzymywanie buzi w wiośnianym, podobnym różom, wyglądzie. Po codziennem przemyciu twarzy przed udaniem się na spoczynek, dobrze jest zaaplikować sobie masaż klepany dłońmi, który wykonuje się obu rękami równocześnie, zaczynając od dołu ku górze, małemi kręgami. Klepać można dość silnie, co doskonale pobudza żywsze krążenie krwi. Delikatny masaż twarzy końcami palców kończy każdorazowy zabieg tego rodzaju.

Elwira.

Konkurs Magazynu „As"

NA NAJPIĘKNIEJ ZASTAWIONY STÓŁ WIELKANOCNY

W tym numerze zamieszczone zdjęcia stołów wielkanocnych są ostatniemi z serji nadesłanych nam na tegoroczny Konkurs. Pozostają jeszcze te, które jury redakcyjne uznało za najlepsze i przeznaczyło do nagród. Pojawią się one w najbliższym numerze Magazynu „As" wraz z fotografjami przedmiotów, które zostały ofiarowane przez firmy na nagrody.

Nie wątpimy, że Konkurs nasz — który wykazuje stałe zwiększanie się zainteresowania nim Czytelników — i w przyszłym roku będzie licznie obesłany i że uczestnicy postarają się o to, aby ich stoły wykazywały coraz więcej cech indywidualnych i by praca urządzających święcone oparła się w jak najszerszej mierze na dawnych polskich wzorach. Ten cel bowiem posiada Konkurs Magazynu „As". Nie chodzi nam w tym wypadku o przepych dawnych stołów wielkanocnych, bo dzisiejsze czasy mało komu na to pozwalają, lecz o wykazanie choćby minimalnych aspiracyj artystycznych przez dobór odpowiedniej zastawy, dekoracji kwiatowej i tych wszystkich drobiazgów, które razem sharmonizowane dają dopiero estetyczną całość stojącą na wysokim poziomie.

Nie trzeba się więc zrażać, jeśli przesłane nam zdjęcie nie otrzyma w tegorocznym Konkursie nagrody. Należy tylko sobie powiedzieć, że na przyszły rok będziemy musieli pomyśleć o czemś oryginalniejszem, a wówczas nagroda przypadnie nam napewno w udziale.



Stół p. Żanki Winnickiej. — Hosłów-Krzywotuły, województwo stanisławowskie.



Stół p. J. Sz., Warszawa.



Stół p. J. Łabędziówny — Radymno.



Stół p. Józefy Kwiecińskiej, Tarnobrzeg.

CHŁÓD WODY JUŻ WABI NAS...



Z wyjątkiem plaż Florydy, Kalifornji i południowej Europy — właściwy sezon kąpielowy jeszcze się nie rozpoczął. Mimo to o plaży, o rozkoszach kąpieli morskich i słonecznych mówi się i myśli już bardzo wiele. W szczególności mieszkańcy wielkich miast, znużeni nerwowem tempem życia i zajęć, tęsknie przewracają kartki kalendarza, licząc z niecierpliwością długie, skwarne, duszne dnie, które dzielą ich jeszcze od urlopu i letniego wyjazdu.

Dzięki takim zakładom, woda pojęta jako żywioł sportowy, stała się dostępna najszerszym masom pracującym. Kąpiele słoneczne, plażowanie, pływanie i gry sportowe związane z pływaniem, nie są już tylko przywilejem tych, których stać na wyjazd nad modną plażę.

Oczywiście, aby odnieść prawdziwą korzyść z wody jako elementu sportowego, wypoczynkowego i — co podkreślić należy — działającego kosmetycznie, trzeba być o ile możności codziennym gościem w zakładzie kąpielowym na wolnem powietrzu.

Tak traktowana woda wpływa zbawiennie również na całokształt naszego zdrowia i systemu nerwowego, działając wybitnie hartują. Ten, kto codziennie zażywa kąpieli i spędza przynajmniej pół godziny w kostjumie kąpielowym, bez obawy zaziębienia może korzystać z basenów na wolnem powietrzu i w dnie chłodniejsze — przez całe lato aż do późnej jesieni.

Baseny na wolnem powietrzu nie są przeznaczone wyłącznie do dawania nam tak miłej zresztą ochłody w dnie upalne — są one przedewszystkiem miejscem poświęconem kulturze fizycznej, której zasadniczemi elementami są zdrowie i piękność.

Na razie robi się projekty, przerzuca prospekty modnych miejscowości nadmorskich, oblicza waluty i myśli o akredytywach, a chłodu szuka się tymczasem... w basenach pływackich.

Każde niemal większe miasto stara się umożliwić swym mieszkańcom rozkosze kąpieli i plażowania, budując luksusowe baseny i sztuczne plaże, gdzie można mieć przyjemne złudzenie pobytu nad prawdziwą „wielką wodą". Znane są wspaniale urządzone kąpiele w Budapeszcie — nasza stolica i inne miasta z Krakowem na czele również pochlubić się mogą nowoczesnemi, a nawet luksusowemi urządzeniami kąpielowemi.

Epokę naszą możnaby słusznie nazwać „hydropatyczną". Szczególnie nasze piękne panie czułyby się zupełnie wykolejone, gdyby choć parę godzin dziennie w letnim sezonie nie spędzały, odziane jedynie w kąpielowy trykot. Stał się on tak niezbędnym rekwizytem kobiecej garderoby, jak strój narciarski czy turystyczny. Chodzi się więc na plażę nietylko dla ochłody i kąpieli, ale również i poto, aby na dancingu pokazać równie pięknie opalone plecy, jak u naszych przyjaciółek. To należy do mody, do dobrego tonu. Nie można zaprzeczyć, że tkwi w tem sporo snobizmu. Jest to jednak snobizm zdrowy, a czas spędzony na plaży czy w pływackim basenie korzystniej przyczynia się do zachowania zdrowia i urody, niż godziny trawione w dusznej kawiarni na plotkach.

Nic więc dziwnego, że już w kwietniu na wystawach wielkich magazynów mody i na rewjach ukazują się kostjumy kąpielowe



Tegoroczne kostjumy kąpielowe odznaczają się tem, że są dosłownie krojone na figurę (n a p r a w o). — Prócz tego modą wprowadza nowe wzory, oparte na motywach morskich (n a l e w o).



Przyjemnych emocyj dostarcza pierwsze zetknięcie z chłodną pieszczotą morskiej fali.

i rekwizyty plażowe. Zajmijmy się narazie temi pierwszemi.

Twórcy mody nie łatwe mają zadanie, aby w ramach tak uproszczonego schematu, jakim jest kostjum kąpielowy, stworzyć co roku coś nowego — coś, czego jeszcze nie było. W dziedzinie fasonów wybór jest niewielki: jednolity trykot, lub też kostjum dwuczęściowy, złożony z króciutkich spodenek i staniczka. Cała więc pomysłowość i fantazja mody idzie w kierunku tkanin i deseni. Obok trykotów z wełny, modne są kostjumy z grubego sztucznego jedwabiu przetykanego wełną lub bawełną, elastyczne porowate lasteksy, obciskające figurę jak najlepiej dopasowany gorset.

Wiele trykotów imituje zwyczajne tkaniny, które zresztą również używane są niejednokrotnie na kostjumy nie przeznaczone do wody, lecz jedynie do słonecznych kąpieli i gier plażowych. Ładne są wyroby trykotowe dziurkowane ażurowo, przypominające gruby tjul, a nawet gęstą koronkę.

W deseniach panuje nieograniczona fantazja. Niektóre zapożyczają motywów z tkanin wschodnich, jakie używają malajskie dziewczęta na swe barwne pareos. Inne, zamiast obnoszonych już nieco rzucików, kropek czy krateczek, opierają się na motywach morskich: na tegorocznych kostjumach widzimy muszelki, koniki morskie, kotwice, meduzy, żaglówki, figurki marynarzy, stylizowane gałęzie krzewu koralowego i wszystkie możliwe morskie żyjątka.

Takie barwne i wzorzyste kostjumy kąpielowe mają zazwyczaj ramiączka i pasek z materjału gładkiego, dostosowanego w kolorze do czapki kąpielowej i pantofelków z gumy lub rafji. Największą ilość kombinacyj wykazują właśnie ramiączka. Dawniej widywało się ekscentryczne modele kostjumów kąpielowych, w których rolę ramiączek spełniał ozdobny naszyjnik z wielkich sztucznych korali. Obecnie wielkie magazyny lansują modele bardziej proste w formie i celowsze; ramiączka połączone są z kostjumem przy pomocy ozdobnych płaskich kółek, przez które przeciąga się barwne sznury i taśmy z trykotu.

Aby przygotować się należycie do „wielkiej kampanji kąpielowej", piękne panie pamiętać muszą o tem, że kupno najmodniejszego i w najlepszym gatunku stroju kąpielowego, to jeszcze nie wszystko. Największą ozdobą kostjumu kąpielowego jest niewątpliwie postać jego właścicielki, smukła, zgrabna, o pięknej i wypielęgnowanej karnacji. To też niejako „zaprawą" do sezonu kąpielowego winna być wysmuklająca gimnastyka i masaże przy użyciu dobrych kremów lub zwyczajnej świeżej oliwy czy olejku migdałowego, który uelastycznia skórę i czyni ją gładką i delikatną, a odporną na słoneczne promienie i działanie wody. Ważnym punktem kosmetyki kąpielowej jest także staranna depilacja i wzorowy pedicure. Tylko poczucie doskonałej estetyki naszego ciała pozwoli nam czuć się naprawdę dobrze i swobodnie w kostjumie kąpielowym, który — jak żaden inny strój — bezlitośnie odsłania zarówno nasze wdzięki, jak i braki.

Lady Like





Komplet, złożony z spodenek i napierśników, reprezentuje do minimum zredukowany kostjum plażowy.



W kole: Z chwilą nastania upałów w miastach zaroją się brzegi basenów (na zdjęciu oryginalny kostjum w szkocką kratę).

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. IMRE von SANTHO

P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA WIOSENNA. 4 dkg ryżu wymywa się naprzód zimną wodą, potem zalewa filiżanką rosołu z kości cielęcych i dusi pod przykryciem do miękości. Szczaw, szpinak, koper, szczypiorek, wszystkiego po kilka listków, środeczki z główki sałaty itp. płucze się dokładnie i sieka drobno. Posiekaną zieleninkę wrzuca się do wazy, w której roztarto 1—2 żółtek z szklanką śmietany. Do uduszonego ryżu dolewa sie litr rosołu, zagotowuje, wlewa do wazy i miesza z śmietaną i dodatkami. Zupy nie gotuje się więcej, tylko kontroluje, czy dość słona, dodaje jeszcze szczyptę cukru i pieprzu i wydaje z grzankami lub wogóle bez dodatków.

SURÓWKA Z RABARBARU. Do tego celu użyty być może tylko rabarbar najlepszej sorty, tzw. malinowy. Doskonale wymyty kraje się wraz z łupką w cienkie płatki poprzeczne, o ile możności skośnie, jak kiełbasę, poczem przesypuje się go suto cukrem i pozostawia przez 24 godzin w chłodzie. Tuż przed podaniem kropi się surówkę winem lub likierem i przybiera konfiturami i bitą śmietaną.

SOS SZCZAWIOWY. Sos ten jest bardzo smaczny do kotletów ziemniaczanych lub jaj na twardo. Powinien być gęsty, więc szczawiu należy wziąć sporo, 30—40 dkg. Obrane listki, wymyte i osączone, sieka się, dusi następnie na troszce masła i wody, poczem się je przeciera i podprawia zasmażką z łyżki masla i mąki. Wkońcu rozrzedza się sos kwaśną śmietaną, zagotowuje i dodaje troszkę soli, cukru i prószynkę gałki muszkatułowej lub białego pieprzu, o ile gałka nie jest lubiana.

JAJA NA ZIELONO. W pogoni za witaminami, znajdującemi sie w surowych jarzynach, a których pragnie nasz wygłodzony przez zimę z witamin organizm, przygotujemy sobie bardzo smaczne danie w następujący sposób: Z wszystkich ziół kuchennych, jakie możemy osiągnąć, a więc: zielonej pietruszki, liści selera, estragonu, koperku, szczypiorku, szczawiu i sałaty zielonej, weźmiemy po trosze. Wypłukane dokładnie sieka się je drobno wraz z paru twardemi jajami i zalewa sosem, sporządzonym z 3 łyżek mocnego rosołu (z kostki buljonowej), łyżki octu lub soku cytrynowego, oliwy, musztardy oraz soli i cukru po odrobinie. Wkońcu dodaje sie łyżkę gęstej kwaśnej śmietany. Dobrze wymieszaną sałatkę, ułożoną na salaterce, układa sie z wierzchu, twardemi jajami, pokrajanemi na plasterki. Do sałatki tej podać można ziemniaczki w mundurkach lub chleb z masłem.

WĘGIERSKIE RAGOUT. 25 dkg tarhonji kupnej lub sporządzonej w domu (poniżej podaję przepis), zalewa się podwójną ilością wody lub rosołu i dusi z dodatkiem łyżki tłuszczu, na sypko. Osobno smaży się posiekaną cebulę na słonince, dodaje drobno pokrajaną nereczkę, kawałek wątróbki i serca oraz po kawałku wieprzowego, wołowego i cielęcego mięsa, również w małą kostkę pokrajanego, soli i papryki łyżeczkę i dusi chwilę pod pokrywą aż do zrumienia się miesa, poczem miesza się je z tarhonją, dodaje łyżkę pomidorowej marmolady i wstawia do piecyka w drugiem naczyniu z gorącą wodą, na godzinę. Tuż przed podaniem miesza sie potrawę z ósemką śmietany, co jednak może odpaść, gdy potrawa i bez tego dodatku jest dość tłusta.

TARHONIA. Z 50 dkg mąki, 2 jaj i małej filiżanki wody, zagniata się bardzo twarde ciasto, które się na desce sieka przy czestem posypywaniu mąką na całkiem drobne kluseczki. Wkocu przesusza sie, ciasto rozsypane na brytwance lub blaszce w niezbyt ciepłym piecyku. Ciasto powinno się lekko zrumienić. Przechowywać je można przez czas nieograniczony w miejscu suchem a przewiewnem, zesypane do płóciennego woreczka.

GRZYBEK PTYSIOWY Z JABŁKAMI. Zagotowuje sie 1/4 litra mleka z łyżką masła i szczyptą soli. Wśród gotowania wsypuje sie do mleka 10 dkg mąki i ubija na ogniu na gładkie przejrzyste ciasto, poczem odstawia się ciasto do ostudzenia. Osobno uciera się 4 żółtka z 10 dkg cukru z skórką, otartą z cytryny i 4 dkg masła, dodaje po trosze przygotowane ciasto; wkońcu należy ostrożnie domieszać pianę z 4 białek. Do ciasta dodaje się pokrajane w płatki jabłko i garstkę rodzynków, miesza lekko i wylewa na rozpalone na brytwance masło, poczem wstawia się do gorącego piecyka na 20—30 minut. Zrumienione ciasto rozrywa się w kawałki zapomocą dwóch widelców, podaje posypane cukrem z wanilija lub polane sokiem owocowym.

Tego samego ciasta użyć można na rodzaj sufletu. Do tego celu układa sie na ogniotrwałej misce osączony z soku kompot z jabłek, przekładając go konfiturami, wylewa na to przygotowane, jak wyżej podano, ciasto, oczywiście już bez dodatku jabłek, natomiast posypane grubym cukrem z migdałami. Dalsze postępowanie, jak wyżej. Podaje sie w całości w tem samem naczyniu.

Sc. Ko.

UWAGA: W Nrze 19 „Asa" zaszły w przepisie na **leguminę chlebową** dwie omyłki, a mianowicie: w wierszu 2-gim zamiast słowa „przeciera" ma być **„przesiewa"**. Druga natomiast omyłka powstała z powodu zmiany szyku słów: powinno brzmieć „wkońcu naprzemian po łyżce, pianę z 6 białek i zmielony chleb".

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI W GOSPODARSTWIE DOMOWEM



Serwetki koronkowe mają niejednokrotnie misternie ząbkowane brzegi i wzory tego rodzaju, że ściągają się w praniu tak, iż nie można ich potem przyprowadzić do normalnego wyglądu. Zniechęca to wiele pań domu do prania i prasowania serwetek, a przecież pierwszą zaletą koronkowej serwetki jest jej czystość i świeży wygląd.

Oddawanie serwetek do pralni byłoby niepotrzebnym wydatkiem. Podany tutaj sposób pozwoli każdej pani przeprowadzić pranie serwetek w domu. Serwetki, przeznaczone do prania, naszyć trzeba na kawałki płótna, fastrygując dokładnie kontury brzegów i trudniejsze do prasowania motywy wewnętrzne. Prane i prasowane z takim podkładem serwetki, odpruwa się potem delikatnie, a efekt jest niezawodny. Można też przyciąć sobie kartki papieru w kształcie serwetek i po wypraniu rozciągnąć je na nim, aby uzyskać pierwotny kształt. Widzimy to na reprodukowanem tu zdjęciu. Sposób ten można stosować przy mniej skomplikowanych wzorach.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 22 — **Maj** — 31 dni

NIEDZIELA 22 Julii	Zupa rakowa. Szparagi. Kurczęta smażone z mizerją. Kompot surówkowy. Torcik orzechowy. Kolacja: Wędlina z sosem tatarskim.
PONIEDZ. 23 Dezyd. Dn. krz.	Zupa wiosenna. Jaja na zielono. Siekane sznycle cielęce w beszamelu z kluseczkami francuskiemi. Grzybek z jabłkami. Kolacja: Węgierskie ragoût.
WTOREK 24 Joanny Dn. krz.	Rosół z lanem ciastem. Sztuka mięsa z sosem chrzanowym lub ćwikłą. Polędwica wołowa na dziko z makaronem. Kompot z suszonych owoców lub rabarbaru. Kolacja: Zsiadłe mleko z ziemniaczkami.
ŚRODA 25 Urbana p. Dn. krz.	Zupa szczawiowa z ryżem. Jaja w sosie pomidorowym. Wątróbka cielęca panierowana z mizerją i marchewką. Budyń bułkowy z szodonem. Kolacja: Kaszka krakowska na grzybkach.
CZWARTEK 26 Wniebowstąp. P.	Barszcz na botwince z młodych buraków. Kalarepka z masłem i bułeczką. Carré cielęce z smażonemi ziemniaczkami. Tort Savarin. Kolacja: Szpinak z parówkami.
PIĄTEK 27 Jana p.	Zupa grzybowa z płatkami. Kotlety ziemniaczane z sosem szczawiowym. Szczupak w sosie sardelowym z kluseczkami. Strudel z rabarbarem. Kolacja: Sałata śledziowa.
SOBOTA 28 Wilhelma	Ziemniaczanka. Płatki z szynką. Kotlety wieprzowe z sałatą. Omlet z konfiturą. Kolacja: Jaja w szklance.





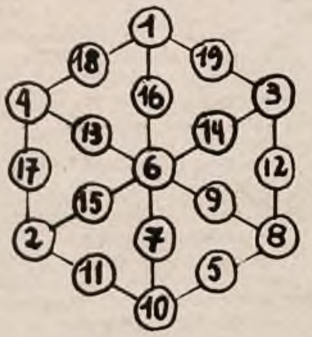
HOCKI-KLOCKI

Rozwiązania Nru z 20-go.

PRUDENCJA.

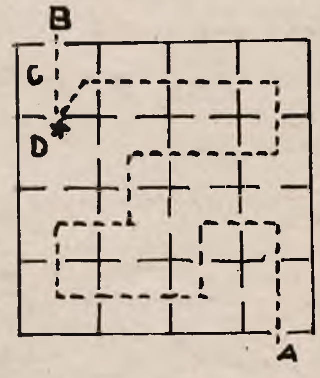
Dzieci Prudencji mają 11, 12 i 13 lat.

TARCZA STAREGO DZIWAKA.



Rysunek wskazuje rozwiązanie zadania.

OGRÓD KRÓLEWSKI.



Rozwiązanie zadania wskazuje rysunek. Trick polega na tem, że do jednego z ogródków można wejść, wcale nie opuszczając poprzedniego. Poprostu nie wychodząc z ogródka oznaczonego literą C, stawiamy nogę w ogródku D i wtedy możemy powiedzieć: „Ponieważ jedna moja noga była w D, więc byłem w nim niewątpliwie, a gdy cofnę nogę z powrotem do C, nie wchodzę do C ponownie, dlatego, że z niego jeszcze nie wyszedłem“.

Jest to jedyna możliwa odpowiedź.

TAMA NA STAWACH.

Tama na głębszym stawie winna być silniejszej konstrukcji, nawet jeśli ilość wody w obu stawach jest ta sama.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

DWÓCH POSŁAŃCÓW.

Rzeźnik posłał chłopca do sklepu piekarza, a w tym samym czasie piekarz wysłał swego chłopca do rzeźnika. Jeden z nich szedł szybcie od drugiego, wobec zego minęli się w odległości 720 metrów od sklepu rzeźnika.

Każdy z nich w ciągu 10 minut załatwił polecenie swego zwierzchnika, a następnie udał się w powrotną drogę. Tym razem chłopcy minęli się w odległości 400 metrów od sklepu piekarza.

W jakiej odległości od siebie znajdują się sklepy rzeźnika i piekarza? (zakłada się, że każdy z chłopców szedł jednostajnym krokiem).

BECZKI WINA.

Kupiec ma 21 beczek, w czem siedem całkowicie napełnionych winem, siedem do połowy i pozostałe siedm pustych. Kupiec chce rozesłać wino do trzech sklepów — A, B i C, jednak bez przelewania wina z jednej beczki do drugiej i tak, aby w każdym z trzech sklepów była nietylko ta sama ilość wina, ale i ta sama ilość beczek. Jak można podzielić wino i beczki?

CYFRY.

Wykonując działania arytmetyczne na cyfrach 1, 2, 3, 4 i 5 należy otrzymać następujące wyniki: 9999, 10000, 100000 i $\frac{1}{2}$.

PARADOKS ŻYCIOWY.



— Wyjdź za mnie zamąż, najdroższa, a uwolnisz się od niańczenia dzieci!

(„Esquire“).

METAL.

Posiadana ilość pewnego rodzaju metalu składa się ze 100 kg ołowiu, 40 kg antymonu, 24 kg cyny i pewnej ilości miedzi. Jeśli waga miedzi wynosi 6 proc. wagi tego metalu, to ile kilokramów miedzi zawiera metal?

Dokończenie ze str. 23-ej.

dokładną pracę. Nie mógł pogodzić się z myślą, że są ludzie, co potrafią lekceważyć drobiazgi, które rosną do rozmiarów wielkich błędów i stają się przyczyną, że tajemniczy proces, dokonywujący się wewnątrz Wielkiego pieca, nie idzie po linji właściwej i surówka, kosztująca Hutę dziesiątki tysięcy marnuje się jako szmelc. Ale nie materjalna strona odgrywała u niego rolę pierwszorzędną i nawet nie ambicja jego jako inżyniera i kierownika Wielkich pieców. Szło mu przedewszystkiem i tylko o jego satysfakcję moralną, o jego radość z powodu spełnionego obowiązku i osiągnięcia pomyślnych rezultatów po wysiłkach i trudach. Cóż, kiedy nikt go tutaj nie rozumiał. Był w pracy idealistą, oni wszyscy zaś myśleli tylko, żeby jak najmniej się wysilać, jak największe otrzymać wynagrodzenie.

Robotnicy w długich fartuchach z worka, łapciach na nogach i kapeluszach, opatrzonych siatkami rzucali mu złe, nienawistne spojrzenia. Czuł to raczej, niż widział i dusił się w tej wrogiej atmosferze.

Przechodząc mimo zbadał temperaturę gazów wylotowych. Była o wiele za wysoka. Szarpnęła nim wściekłość, zadygotał. Jak mógł najszybciej pobiegł po ciemnych nieoświetlonych schodach na górę.

Tam robotnicy skupili się koło Bulandy. Był to mężczyzna w sile wieku, rosły, mocny. Jego brzydką twarz szpecił nieopisanie wzgardliwy uśmiech, błądzący ustawicznie w kątach ust i wyzywające spojrzenie. Żalił się kolegom na kierownika. Co jego obchodzi człowiek? Czy on myśli o tem, że ma się tylko jedną parę rąk, a trzeba pracować od rana do późnej nocy. Do domu nie przychodzi na odpoczynek. Inni śpią, leżą, jedzą, ale on, Bulanda ma jedenaścioro dzieci i nie może ani spać, ani leżeć, ani jeść. Musi dalej harować. Robi i za siebie i za żonę, wiecznie chorą. I dzieci chore, niema kogo pędzić do roboty. — Wszystkie słabują na płuca. On jeden tylko...

Przyjdzie potem do tej swojej roboty, a tu na niego huzia, huzia i huzia! Krwiopijca! Już się tyle nazbierało krzywdy, że musi z tem koniec być.

— Niech go jasna cholera trzaśnie!

— Wszyscy go mamy dość! Walatuje na każdego. Za siódmą skórę nam zalazł — warczał przez zęby Dąbek.

Nie starczyło czasu, żeby dwaj inni zabrali głos, gdyż wpadł Świderski. Na moment zatrzymał się przed zamknięciem pieca i podniesionym głosem, gwałtownie gestykulując rękami, odezwał się do Bulandy:

— Psiakrew, cholera, z taką robotą! Co sobie myślicie do pierona jasnego! Śpicie tu, czy gadacie, a piec wam uciekł. Bulanda! To już drugi raz dzisiaj łapię was na niedbalstwie. Jutro stawiom w Dyrekcji wniosek o zwolnienie wasze!

Bulanda, który był czerwony z wściekłości jak burak, zbladł momentalnie, oczy mu wpadły, na szyi wystąpiły grube jak postronki żyły.

— Ty sukinsynie! — dławił się wściekłością. Oszalał. Nie było już mocy, któraby go powstrzymała ani uspokoiła. Ciężko dysząc, zbliżał się powoli do Świderskiego. Ten cofnął się o krok i potem jeszcze o krok. Rzucił prędkie spojrzenie wokoło. — Ogarnął go zwierzęcy strach. Ci ludzie zabiją go. Koniec. Niema ratunku. R-a-tu-n-ku!

Cofał się wolno... wolno... Nagle Bulanda rzucił się na niego i pchał przed siebie.

— Do pieca z nim, do pieca z nim! Niech się napije tej swojej surówki. Niech się usmaży!

Rozpoczęła się nieprzytomna walka na śmierć i życie. Świderski rzucał się, jak zwierzę w matni. Bulanda nie mógł go sam utrzymać. Przyszli z pomocą inni. Nadbiegł jeszcze ktoś i rękami, twardemi jak stal, opasał wpół ofiarę.

— Puścić tego drania! Ja sam!

— Widecki... Agnieszka... Agnieszka... jego dzieciom owoce nosi... — przemknęło w myślach Świderskiego.

Widecki, unosząc wysoko wgórę wątłą postać inżyniera, wyprzedził kolegów.

Przed nim z jednej strony otwarta paszcza wielkiego pieca, chlupała roztopionym ogniem, z drugiej rzędem stały wózki. Widecki zakołysał się się w prawo... w lewo... i niezawodnym ruchem rzucił Świderskiego w pusty wózek. Zanim nieprzypomni żądzą zemsty robotnicy spostrzegli, co się stało, wózek runął w pochylnię.

Coś huczało, wyło zaległa głęboka ciemność i noc. Rozpętany strach ściął krew w żyłach, do gardła wepchał serce. Jeszcze chwila... i nad Świderskim zawisło rozmigotane gwiazdami, rozświetlone krwawą łuną huty — niebo.

O tak! - to warto

przeczytać... zobaczyć... usłyszeć...



NOWE KSIĄŻKI.

Grey Owl „Sejdżio i jej bobry". Wyd. J. Przeworskiego,

Nastrojowi cynizmu i obłudnych walk przeciwstawił Grey Owl swój romantyczny realizm. Płomień jego miłości dla zwierząt i przyrody dalekiej Kanady, wśród której bezkresów żył — jest tak niezachwianie silny i przejmujący, że porywa i czaruje.

Testament literacki, który pozostawił po sobie zmarły niedawno Grey Owl, nie jest wyrachowaną grą, czy spekulacją na egzotyźmie. W treści swych książek zamknął autor swe największe i najczystsze przeżycia, które opowiedziane prosto, szczerze i z powagą — zmuszają czytelnika do poddania się ich powabom i urokowi tego dziwnego człowieka, jakim był pisarz.

Grey Owl to nie zwykły gawędziarz, który czyni często wszystko, by być słuchanym, ale samotnik, który żyjąc w puszczy poznał jej mowę — i teraz opowiada o wszystkiem, co przeżył i zasłyszał w tej puszczy — nie jako o rewelacjach, lecz jako o rzeczach prostych, pięknych i zrozumiałych, które wszyscy poznać powinni.

Ostatnio pisma angielskie stwierdziły, że Grey Owl nie nazywa się wcale Szarą Sową i nie jest Indjaninem, ale panem Archie Belaney'em, urodzonym w Hastings. Odkrycie to wywołało pewnego rodzaju sensację, nie zmieniając jednak faktu, że dzieła Grey Owla (czy A. Belaney'a), którego osobę przerosły — pozostaną nazawsze osobliwą i wyjątkową pozycją w literaturze.

„Sejdżio i jej bobry", to zdumiewająca historja, do źródeł której uwozi czytelnika żółta kanu indjańska — by mógł wpierw zaznajomić się z życiem bobrów i aby następnie towarzyszyć dwom zaginionym malcom w ich wędrówce pełnej przygód, prawdziwego przywiązania zwierzęcia do człowieka, ludzkich, pięknych odruchów i bezmiaru wspaniałości puszczy kanadyjskiej.

Grey Owl wspomina w wstępie, że celem jego było napisanie książki dla dzieci, którą również dorośli mogliby przeczytać „bez ujmy". Cel został osiągnięty. „Sejdżio", to jedna z najpiękniejszych książek dla dzieci, a równocześnie dzieło, które powinni poznać wszyscy dorośli.

Przekładu dokonał Aleksander Dobrot.

j. m. b.

„Marjonetki" dr. Jan Sztaudynger. (Książnica-Atlas)

Poznański poeta stał się od kilku lat entuzjastą teatru marjonetkowego. — Jest on nietylko entuzjastą, lecz również fachowcem i znawcą. W książce swej daje przegląd najciekawszych zdobyczy na tem polu w różnych krajach Europy. Autor zetknął się z najrozmaitszemi typami widowisk marjonetkowych osobiście; praca jego przynosi relacje z bezpośrednich doświadczeń.

Ze szczególnym naciskiem podkreśla Sztaudynger rolę wychowawczą marjonetek. „Dzięki magji sztuki przyjmuje dziecko przy całym swym zachwycie wobec lalek (czyli marjonetek) tę postawę opiekuńczą i doradczą, jaką ma dorosły wobec dziecka". W teatrze lalek „dziecko znajduje korzyści nie dające się obliczyć, ani uchwycić żadną teatralną ani pedagogiczną miarką".

Marjonetki otwierają przed dzieckiem świat, w którym nie rządzą prawa dnia codziennego, znika tu podział na istoty żyjące i nieżyjące, ponieważ wszystko uskrzydla fantazja. „Teatr lalek, oczywiście dobry teatr lalek, zastosowany do dziecięcej duszyczki, nietylko stwarza dziecku świat bajki, ale pozwala mu na odgrywanie w tym świecie wybitnej roli".

Autor zwraca ponadto uwagę na rolę marjonetek w wojsku. Już podczas wielkiej wojny żołnierze „zabawiali się formowaniem kukieł z wapna, z korzeni drzew i pudełek od konserw". Było to dla nich doniosłe odprężenie nerwowe w atmosferze nieustannego napięcia i wysiłku. **J. J.**

NA SCENIE.

WARSZAWA. Francuski dramaturg H. Bernstein w komedji pt. **„Serce"** (T. Mały) ukazuje rozdźwięk, jaki nieraz spostrzegamy u tzw. ludzi serca, gdy przyjdzie do czynu: ich „serce" staje się poprostu słabością nerwów, jak się wyraził jeden z krytyków. Bernstein pragnie zrehabilitować dzisiejszą młodzież, posądzaną często o oschłość uczuciową, podczas gdy w rzeczywistości jest to tylko maska, pancerz ochronny w trudnych warunkach bytu.

Człowiekiem serca był W. Brydziński, ale ta rola nie dawała pola do popisu. Wdzięczniejszy teren znalazł p. Wesołowski jako młody Jan; miał on przejmujące akcenty szczerości. Starannie opracowali swe role pp.: Smosarska, Waślutyńska, Kościeszanka i Śliwiński. Stanisława Wysocka, reżyserując tę sztukę może zanadto poważnie potraktowała niektóre epizody, które lepiejby się tłumaczyły w ujęciu bardziej komedjowem; w sumie jednak wydobyła maksimum efektów.

LWÓW. W Teatrze Wielkim wystawiono sztukę Jarosława Iwaszkiewicza **„Lato w Nohant"**, należącą do najlepszych pozycyj polskiego repertuaru lat ostatnich. Rolę Szopena wykonał z dużą dozą subtelności p. Wojtecki. Panią Sand była p. Jadwiga Żmijewska, wykazująca dużą skalę artyzmu. P. Tichy odtworzyła postać córki G. Sand-Solange. Reszta zespołu pp.: Leliwa, Staszewski, Mazarekówna, Kruszelnicka, Zielińska, Madaliński, Kalinowski, Borowski i Szaławski dała postacie drugoplanowe, utrzymane na należytym poziomie. Reżyserował p. Karol Borowski. Dekoracje projektu p. Mieczysława Różańskiego. **J.**

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P. K. Wolkowicki — Szczawnica. Choćby w myśl zasady, że „Czytelnik zawsze ma rację", usiłowaliśmy przyznać ją Panu. Niestety nie dało się to zrobić! Jak na złość Panu, na fotosie figuruje Douglas Fairbans junior, a scena nie pochodzi z żadnego filmu (tembardziej z „Anioła"), lecz z... balu filmowego „Tri-Guild". Może przyjedzie Pan do nas podczas „Dni Krakowa" — będzie wówczas doskonała okazja naocznego przekonania się o gaffie — ale nie naszej!

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA.

Niedziela, 22 maja.

12.03 Poranek symfoniczny z sali Teatru Wielkiego we Lwowie.
16.05 Koncert solistów z Torunia.
16.45 „O ochronie budownictwa ludowego" — odczyt.
18.54 „Powrót Odysseusza" — Teatr Wyobraźni — słuchowisko.
20.15 Transm. fragmentów I Międzypaństwowego Meczu Piłk. Polska—Irlandja.
22.00 „Opowieść o Wagnerze" — ostatnia audycja.

Poniedziałek, 23 maja.

15.45 „Z pieśnią po kraju".
16.15 Koncert w wykonaniu Rozgłośni Wileńskiej.
17.15 Recital skrzypcowy Eugenji Umińskiej.
20.00 Rewja melodji operetkowych.
22.00 Koncert Orkiestry P. R.

Wtorek, 24 maja.

16.15 Koncert kameralny z Łodzi.
17.00 „Śląsk nieznany turystom", odczyt.
17.15 Potpouri w wykonaniu Zespołu salonowego Rozgłośni Poznańskiej.
19.00 „Nieśmiertelne książki" — „Komedja ludzka" Balzaka, w opracowaniu Tadeusza Żeleńskiego-Boya.
21.00 Koncert symfoniczny.

Środa, 25 maja.

16.15 Pieśni w wykonaniu Wandy Roessler-Stokowskiej.
19.20 Recital skrzypcowy Józefa Salacza.
20.00 Muzyka taneczna.
21.00 Koncert chopinowski w wykonaniu Zbigniewa Drzewieckiego.
22.00 Melodje operetkowe w wykonaniu Adama Hermana.

Czwartek, 26 maja.

12.03 Poranek symfoniczny.
15.45 Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego.
17.55 Robert Volkmann — Trio b-moll op. 5.
18.30 Transmisja z Londynu: Koncert rozrywkowy.
19.00 Teatr Wyobraźni: „Burza" Szekspira.
21.25 „W maju" — koncert rozrywkowy.

Piątek, 27 maja.

11.40 Pieśni Mozarta i Beethovena.
17.15 Muzyka dwufortepianowa.
18.10 Zespół revellersów „The marry makers".
19.00 „Sensacja amerykańska" — wesoła audycja.
19.42 Pieśni i tańce Mazowsza.
20.12 Koncert symfoniczny z udziałem J. Ochlewskiej-Wysockiej.

Sobota, 28 maja.

16.15 „Od Aten do Bayreut".
17.00 Nabożeństwo majowe z Ostrej Bramy w Wilnie.
18.15 Piosenki w wykonaniu Erny Sack.
20.00 „Raz to mało" — wspomnienia muzyczne z maja.
22.00 Koncert Orkiestry Rozgłośni Wileńskiej.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.